Rok III. Kraków, dnia 20 Sierpnia 1884 r. Nr. 15. i 16.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
—Rynek, Hotel Drezdeński.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 15go i 30 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

LATAWICA.

Napisał Michał Bałucki.

Dokończenie.

Tymczasem w sam dzień Matki Boskiej ksiądz proboszcz ogłosił po kazaniu z ambony między innemi także zapowiedzi Sobka Gąsienicy z Marjanną Kajtusianką, córką Jędrzeja z Leśniczówki. Zdawało mi się, że się ziemia chwieje ze mną, kiedym to usłyszał; ciche słowa księdza huczały mi w uszach jak huragan. Było to bardzo naturalne uczucie. Odkąd bowiem wziąłem żywy udział w losach biednej dziewczyny, żyłem prawie jej pragnieniami i oczekiwałem ich spełnienia z równą niecierpliwością i gorączką, z jaką np. — sportsmeny patrzą na bieg swoich wierzchowców. I ona biegła na wyścigi z losem i w chwili kiedy miała dobiedz do celu—upadła tak okropnie. Wyobraziłem sobie, co się tam dziać musi Hance, jeżeli wie już o tem. Upatrywałem jej między dziewczętami w kościele, małą mając nadzieję zobaczenia jej, i w duszy życzyłem sobie dla niej samej, aby nie była w tej chwili.

Tymczasem na przekór moim życzeniom spostrzegłem ją wprost naprzeciw ambony. Klęczała sztywnie jak z drzewa wystrugana figura, palce miała zaciśnięte, usta otwarte, a oczy trzymała wciąż jeszcze nieruchomo wlepione w ambonę, choć księdza dawno już na niej nie było. Dla obojętnych wyglądała trochę na zagapioną idyotkę; mnie jednak nie trudno było z tych sparaliżowanych boleścią rysów odczytać, co się tam musiało dziać w duszy biednej dziewczyny i serdecznie żal mi jej było.

Kiedy powtórnie zdecydowałem się spojrzeć na nią miała głowę pochyloną ku ziemi, palcami przebierała różaniec i szybko ruszała wargami. Znać chciała słowami pacierza zagłuszyć serce.

Po sumie straciłem ją z oczów. Gdy wieczorem ze spaceru wróciłem do domu i nie zobaczyłem jej, spytałem Tereski:

— A gdzie Hanka?

— A kto ją wie? Lata światami — to u niej zwyczajna rzecz.

— Ale była na południe w domu?

— Nie, nie była.

Zaniepokoiło mnie to. Według moich pojęć o miłości, czerpanych z najlepszych romansów i powieści, spodziewałem się jakiejś katastrofy, tem bardziej, że Hanka przez całą noc nie pokazała się. Na drugi dzień rano zwróciłem uwagę Tereski, że może Hance co złego się stało. Ale roześmiała się z mojej troskliwości i rzekła:

— Nie bójcie się — takiego ladaco jak Hanka, to się nawet nieszczęście nie chwyci. Raz zaniemogła nam tak ciężko, że najlepszego chłopa zmietłaby taka chorość, myśleliśmy co już po niej — i ksiądz był już z Panem Jezusem — a i tak się wylizała. To taka nieprzymierzając jak żyła, gryź i gryź i nie zgryziesz.

Pokazało się, że Tereska miała słuszność, Hance nic się nie stało — i zjawiła się w domu o zwykłej godzinie do posługi. Wprawdzie mnie w domu podtenczas nie było, ale gdym wrócił, zastałem posprzątaną i zamiecioną moję izbę. Następnego dnia także jej nie widziałem, bo wcześnie wybrałem się na wycieczkę w góry, z której wróciłem dopiero za parę dni. Zastałem Hankę pracującą jak dawniej, tylko już mniej biegała na posyłki i obojętniejszą zrobiła się na pieniądze. Literacka Gwiazda narzekała na nią, że od paru dni nie pokazała się u niej, choć jej dobrze płaciła za powiastki i pieśni ludowe. Wytłomaczyłem jej dlaczego — i dodałem:

— Teraz Hance nie chce się opowiadać powieści, gdyż sama je robi. Mogłaby pani śmiało zrobić z niej bohaterkę — zdaje mi się, że bardzo nadaje się do tego.

Ale Gwiazda oświeciła mnie, że na heroinę smutnego romansu potrzeba kobiety wyższych uczuć, któraby miała świadomość tych uczuć, bo jak zbrodnia popełniona bez świadomości i poczucia złego nie może nazywać się zbrodnią, tak samo miłość bezwiedna nie jest miłością. Zacytowała mi reguły z estetyki Libelta, Fiszera, Lemckego i usiłowała przekonać mnie, że uczucia takiej prostej dziewczyny nie wychodzą ponad poziom realizmu i trywialności, że to, com w tem dopatrzył wzniosłego, było tylko mojem subjektywnem zapatrywaniem.

Po tylu argumentach musiałem ze wstydem cofnąć moją propozycją. Pomimo jednak zapewnień Gwiazdy co się tyczy nieświadomości, z jaką proponowana przezemnie na bohaterkę dziewczyna popełniła miłość, żywiłem w głębi duszy trochę inne przekonanie i wierzyłem, że dziewczyna lubo nie podług prawideł estetyki, ale zawsze cierpieć musi i szanując te cierpienia, bałem się w rozmowie z nią dotknąć tego drażliwego przedmiotu — nie chciałem jątrzyć rany, której nie umiałem leczyć. Ale sama rozpoczęła raz ze mną mówić o tem. Spotkałem ją nad Dunajcem koło brzozowego gaju. Siedziała wsparta obiema rękami o próżne wiadro i zagapiła się na rzekę. Mogłem łatwo domyśleć się o czem myślała. Chód mój obudził ją z zadumy, poruszyła się, spojrzała na mnie i odezwała się ze smutnym uśmiechem:

— Widzicie, wasze pieniądze nie przyniosły mi szczęścia. Sobek żeni się z Kajtusianką. Słyszeliście o tem?

— Słyszałem.

— To już taka wola Boska. Sobek widać nie był mi przeznaczony. Żebym mu choć drużką być mogła, ale to będzie trudno; Kajtusianka harda dziewczyna nie chciałaby pewnie takiej dziadówki jak ja, mieć na swojem weselu.

— Jakto — chciałabyś być na weselu Sobka?

— A czemużby nie? Wszak wiecie, że go mam rada.

Zdumiałem. To już sprzeciwiało się wszelkim regułom estetycznym o miłości—przekraczało granice pojęć świata ucywilizowanego. Widziałem w tym świecie panny, które zawiedzione w miłości spazmowały, mdlały, truły się, wstępowały do klasztoru, a nawet szły za mąż; ale żeby która z nich chciała być drużką na weselu, na którem nie mogła być panną młodą, — tego mi się nigdy widzieć nie zdarzyło. na to trzeba być nieokrzesaną chłopką i wytłumaczyć sobie tego psychologicznego fenomenu nie umiałem. Dopiero pani Gwiazda wyjaśniła mi, że to jest tępe odczuwanie wrażeń, znieczulenie nerwów.

— Tylko my — mówiła, umiemy odczuwać silnie. Nasze wydelikacone nerwy są jak eolskie harfy, na które najlżejszy powiew uczucia działa.

Nie mając pod ręką żadnego lepszego rozwiązania zagadki psychologicznej, musiałem przyjąć z konieczności tę, jaką mi podała szanowna literatka. Niedaleka przyszłość pokazała, że Oedip w spódnicy nie omylił się bardzo, posądzając moję bohaterkę o znieczulenie nerwów i prostackie usposobienie, bo w tydzień niespełna dowiedziałem się, że młynarz Walek oświadczył się o Hankę i został przyjęty. Wprawdzie jak to wyżej powiedziałem, i panny o wydelikaconych nerwach umieją zrobić coś podobnego, ale umieją podobne nienaturalne skoki psychologicznie, etycznie, estetycznie, a nawet prawnie usprawiedliwić; tymczasem Hanka najordynarniej w świecie przyznała się, że zrobiła to dlatego, aby całe życie nie chodzić z warkoczem i że wie, iż Walek dobry chłop. Był to ten sam młynarz, który owego wieczora, w którym pierwszy raz przyjeżdżałem do Chranczówki, rozmawiał z Hanką koło mostku. Wspomniał jej wtedy coś o Sobku, być więc może, iż wiedział, a przynajmniej domyślał się skłonności Hanki do niego i dlatego sam chował się ze swojemi sentymentami, choć miał wielką ochotę żenić się z Hanką od chwili jak widział, że trzy ćwierci korca zboża dźwignęła jak nic z wozu i wyniosła do młynu. On już nie mógł dokazać tej sztuki, bo mu piąty krzyżyk przeszkadzał; więc dziewucha z taką siłą byłaby jak raz dla niego, a przytem szło mu o opierunek siebie i dzieci, których miał kilkoro po nieboszczce. To też skoro wymiarkował, że z małżeństwa Hanki z Sobkiem nic nie będzie, poszedł z flaszką wódki do jej chaty, napił się do niej, ona nie odmówiła i Walek poszedł na drugi dzień dać na zapowiedzi.

Tak więc oczekiwana przezemnie tragiczna katastrofa miała się zakończyć dwoma ślubami. Chciałem być obecnym przynajmniej na jednym z nich, bo nie miałem sposobności nigdy przypatrzyć się w górach ceremonjom weselnym. Do tego jeszcze Jędrzej Kajtusiak wybrał się do nas mieszczuchów bawiących w Zakopanem z solennem zaproszeniem, bo, jak się ładnie wyraził, panowie są kołkami a lud prosty płotem, i jedno bez drugiego nic nie znaczy: więc trzeba nam być zawsze razem. Ujęte taką przemową wszystkie prawie „kołki“ przyrzekły uczestniczyć w obrzędzie ślubnym.

Tymczasem na kilka dni przed weselem, kiedy już kołacze były napieczone i barany poszły pod nóż, pojawili się we wsi wcale na obrząd ślubny nieproszeni goście, dwaj żandarmi, udali się specjalnie do pana młodego i udekorowanego dwiema bransoletami żelaznemi powieźli do Sącza.

Pokazało się, że elegancki Sobek, w czasie swego pobytu na Węgrzech, w towarzystwie kilku innych podobnych jemu złotych młodzieńców, zrobił wizytę jakiemuś magnatowi węgierskiemu w porze nader niewłaściwej, bo w nocy, — i w sposób także nie przyjęty dotąd przez cywilizacją, bo przez okno, i nie chcąc przez delikatność budzić właściciela, zabrali sobie od niego na pamiątkę różne kosztowności, które potem usłużni zamieniali im na gotówkę. Być bardzo może, iż te pieniądze skłoniły Kajtusiaka, że się zdecydował oddać córkę swoją za niedoszłego kandydata do stanu nauczycielskiego — i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie kodeks i żandarmi. Stanowiło to przeszkodę ślubną, o której żandarmi jednak nie dali znać według przepisu kanonów kościelnych do parafii, ale wprost do sądu.

Co gorsza — przeszkoda ta stała się także przeszkodą do zawarcia drugiego małżeństwa, a to z przyczyny nieobecności panny młodej, gdyż Hanka, skoro jej tylko powiedziano, że Sobka wzięto do kryminału do Sącza, spakowała węzełek, w który włożyła także ów woreczek zgrzebny z banknotami, i poszła za nim. A kiedy jej się pytałem, po co tam lezie? — odpowiedziała bardzo naturalnie i bez patosu:

— A dyć on teraz niema nikogo. Kajtusianka pewnie go ani znać będzie, skoro go takie nieszczęście spotkało. Dobrze to, że choć ja czasem z dobrem słowem pójdę do niego. Przecież sędziowie nie heretyki — to puszczą do niego. A może mu i coś pomódz będzie można; ludzie wszędzie lubią pieniądze — a ja ich nie pożałuję dla niego.

I poszła.

Żal mi było dziewczyny. Bałem się, że siebie zniszczy, a Sobka nie ocali i zmarnieje w poniewierce; ale z drugiej strony cieszyłem się, że będę mógł przekonać Gwiazdę, iż moja bohaterka nie była znowu z tak podłej gliny ulepioną, skoro się mogła zdobyć na takie poświęcenie. Pewny tryumfu poszedłem do niej w tym zamiarze.

Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu czcigodna literatka przekonała mnie, że się grubo myliłem, bo według pojęć estetycznych, co jest pięknem jest zarazem dobrem, — a że miłość Hanki do złoczyńcy nie można nazwać rzeczą dobrą bez zdeptania wszystkich praw moralności i zasad publicznego porządky, a więc nie może być piękną.

— Wszak ona kochała, nie wiedząc że on zbrodniarz, rzekłem, usiłując jako tako bronić mojej bohaterki; ale mi Gwiazda odparła z uniesieniem:

— Prawdziwa, wielka, szczytna miłość — rzekła — ma siłę przeczucia posuniętą do jasnowidzenia. Istota z wyższem sercem odczuje zbrodniarza.

Widziałem z tego, że nie uda mi się namówić Gwiazdy do napisania powieściowego szkicu o mojej latawicy, a że wbrew estetycznym regułom miałem na dnie duszy to uparte przekonanie, że w tym prostym krzemieniu znalezionym w górach — (rozumiem pod krzemieniem Latawicę, nie Gwiazdę) są błyszczące kryształki dyamentowe, które warto pokazać, więc rad nie rad wziąłem sam zardzewiałe pióro z teki i ten szkic spisałem.

WYCIECZKA DO PIEKIEŁ.

(La descente aux enfers).

Wy wszyscy, których szczęśliwa głowa
Mieści ten dziwny mózgu gatunek,
Że jak najświęciej wierzycie w słowa,
Których nie szczędzi hojny szafunek
Gęby piastunek!..

Nadstawcie uszu, zjeżcie czupryny,
Bo mam dziś dla was z piekła nowiny!..
O tak! Byłem, byłem w piekle,
U Lucyperowych bram,
I bawiłem się tam wściekle
Jak Lucyper sam!..
Dobrze jadłem, tęgo piłem,
Z szatanami ton wodziłem —
Hop-ha! Hejże-ha!
I djabliczce czarnobrewéj
O miłościm nócił śpiewy:
Tra-la-la-la-la!..

Stało się ze mną, że pewnej nocy,
Kiedy sam na sam z wiedźmą zostałem,
Dosiadłem miotły — i wnet jak z procy
Wraz z nią przez komin mój wyleciałem
Z duszą i ciałem...
Droga do piekła była mi krótką,
Bom jechał z wiedźmą bardzo milutką;
„Fru-fru! Fru-fru! Hej do piekła!..
Śpiewał mi mej wiedźmy głos...
A gdym bał się, — ona rzekła:
„Na mnie zdaj swój los!..
„Nic się nie bój, siedź na miotle...
„Nie będą cię smażyć w kotle!..
„Hop-hop!.. Dalej, ha!..
„W piekle będziem już za chwilę —
„Zabawimy się tam mile —
„Tra-la! Tra-la-la!..“

A więc posłuszny siedziałem cicho...
Tylko... objąłem w pół czarownicę,
Aby nie upaść, — bo nie śpi licho —
Któż kiedy djablich figlów granicę
Zbada na nice?..
Kibić mej wiedźmy zgrabniutką była,
Więc ta pozycya mię nie znużyła...
Wio-ho-wio!.. Jużeśmy w piekle!..
Już pałaców djablich próg!..
Djabla służba jakże wściekle
Kłania nam do nóg!..
Jak nam z miotły zsiąść pomaga,
Krzycząc, aż się skromność wzdraga:
„Wiwat!.. Hura-ha!..
Otwierają nam podwoje —
I śpiew wita nas oboje:
„Tra-la-la-la-la!..

Wchodzimy... Aż tu djablęta jękną,
Rzuciwszy okiem na moją wróżkę:
„Jakże jest zgrabną!.. Jakże jest piękną!..
„Jakże prześliczną ma bosą nóżkę!..
„Całować duszkę!..“
A i mnie zastęp młodych djablików
Nie szczędzi pełnych werwy okrzyków...
Hura!.. Hura!.. Tu grzmią piekła,
Śpiewa mnóstwa djabłów chór...
Tam — kantata brzmi zaciekła
Na cześć ziemi cór:
„Wiwat wiedźma pełna wdzięku!..
„Wnieśmy ją na naszem ręku,
„Gdy w nas zapał gra!..
„Mili goście niech nam żyją,
„Niech śpiewają, jedzą, piją!.
Tra-la-la-la-la!..

Jużeśmy w salach, kędy starszyzna
Wraz z djablicami ucztuje gwarnie...
I oto... Nawet dewotka przyzna,
Że są dość znośne piekieł męczarnie
Sławione marnie...
Bo widzim ostryg, pasztetów misy...
A wina mają beczkami biesy!..

Brzek-brzęk — brzęczy uczta w piekle
Słychać wszędy djabłów śmiech...
Jakże hucznie, jakże wściekle
Brzmi ochota ich!..
Zgraja biesów nas zagadła:
„Hej, do wina i do jadła!..
„Brzęk-brzęk!.. Hejże-ha!..
„Piękna wiedźmo, siadaj z nami!..
„A ty siądź tam z djabliczkami —
„Tra-la-la-la-la!..

Wierzcie mi: djabeł jest dobrym bardzo
Amfitryonem w własnym swym domu...
A i djabliczki ludźmi nie gardzą
I kokietują nas pokryjomu,
Aż do wyłomu...
Jedna z nich zwłaszcza, brunetka mała,
Ciągle ślepkami do mnie mrugała...
Mrug-mrug — oczki rodem z piekła —
Ja nawzajem do nich mrug!..
Więc znajomość się nie zwlekła
Do dalekich dróg...
Niechaj żyją oczki czarne,
Oczki djable, — więc figlarne,
Lśniące niby skra!..
Daj, djabliczko, drobną rękę...
Ja zaśpiewam ci piosenkę:
Tra-la! Tra-la-la!..

A nie ja jeden byłem wesoły,
Siedząc z djabliczką w przyjemnej parze,
Bo w każdym kącie biesiadne stoły
Wrzały, jak zakon piekielny każe,
W ochoczym gwarze...
Sam król Lucyper w ogólnej chętce
Do mojej wiedźmy wziął się naprędce...
Dzeń-dzeń!.. Dzeń-dzeń!.. dzwoni wściekle.
Trącając o kielich jej...
„Śliczną wiedźmo! Jesteś w piekle
„A więc wino lej!..
„Kielich chyl w różowe usta...
„Niechaj z nich wesołość pusta
„Zabrzmi cha-cha-cha!..
„Ciebie nam tu brakło właśnie:
„Teraz piosnkę piekło wrzaśnie:
„Tra-la-la-la-la!

Wiedźma się śmieje z Piekielnej Mości,
Szepcąc mu czule: „mój królu luby!..“
A więc król woła w swej wesołości:
„Hola! Demony i Belzebuby,
„Z rogami, z czuby!..
„I wy, figlarni Asmodeusze!..
„Niech się nie nudzą tu ziemskie dusze!..
„Hop-ha!.. Niech zaleje piekła
„Djabelskiego wina dzban!..
„Niech kapela zagrzmi wściekła
„Nasz djabelski tan!..
„Kto żyw, — niechaj wino stare
„W jak największą leje czarę,
„Chyli ją do dna!..
„I niechaj się puszcza w tany,
„Nucąc czule swej wybranej:
„Tra-la-la-la-la!..

Ledwo król skończył — już grzmi kapela
Taniec szalony, iście piekielny...
I każdy djabeł wnet się ośmiela,
Skoro ma taki animusz dzielny
Ich nieśmiertelny...
Każdy wychyla olbrzymią czarę,
Dobiera sobie do gustu parę —
I dalejże pląsać wściekle,
Aż w nim wszystko ogniem wre!..

A ten, kto panuje w piekle,
W pierwszej parze mknie!..
Djabły, biesy, Belzebuby,
Każdy tuż przy swojej lubej
Hasa: hop-hu-ha!..
Ja z szatanką białolicą
Hulam, aż jej oczki świécą —
Hop-ha!.. Tra-la-la!..

Nie wiem jak długo trwała biesiada,
Bom z mą djabliczką zemknął na ziemię...
Lecz wiem, że próżno o piekle gada
Tak niepochlebnie człowiecze plemię,
Trwożąc tem ziemię:
Niema tam ognia, niema tam smoły,
Tylko animusz gore wesoły!..
Więc sza! Milczmy już o piekle!..
Niech nie myśli biedny człek,
Że odpokutuje wściekle
Krótki życia wiek!..
Ja tam byłem, — jadłem, piłem,
Z szatanami ton wodziłem —
Hop-ha! Hejże-ha!..
I skradzionej tam szatance
Spiewam dotąd, jak kochance
Czułe: tra-la-la-la!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

OSTATNI PIASTOWIE SZLĄSCY.

Dokończenie.

Augustem się też wyręczano, gdy o reprezentancyą chodziło. Gdy na wiosnę r. 1660 książe Jerzy zaręczył się z Maryą Elżbietą Karoliną von Pfalz-Simmern, on to wraz z Melchiorem baronem Kanitz marszałkiem nadwornym sprowadzał książęcą narzeczoną z Krosna, gdzie z matką u owdowiałej Elektorowej Brandeburskiej przebywała, do Brzegu. Z Brzegu wyruszyło poselstwo 28 Września. Z Lignicy raportuje d. 1 Października Kanitz: «wszystkim nam się tu dobrze dzieje, radzi nas widzą, lautissime traktują, ale nas strasznie opajają [1]), aleśmy wszyscy zdrowi i dziś dalej ruszamy. Miły pan książe Ludwik Lignicki, (brat księcia Jerzego) tak się cieszy na przyjęcie narzeczonej, iż wątpią by jej i w Brzegu więcej czci okazać zdołano. Ognie sztuczne będą wspaniałe, przytem brama tryumfalna, misternie a kosztownie urządzona, cum hac inscriptione: Vivant principes Lig. Breg, Vivat Maria Elisabetha Carolina. Wartoby, aby Wasza miłość z podziękowaniem liścik napisał, bo ze względu na Waszą Książęcą Mość tyle nam tu dobrego świadczą i dziś będziemy w Luben zupełnie „defraye'» (gratis podejmowani)." Pod dniem 3 Października pisze znów: „p. starosta Ziemski [2]) w Głogowie, ze względu na waszą książęcą mość bardzo nas dobrze i uprzejmie traktował, na zamku ulokował i de suo proprio podejmował. Nie jestem w stanie opisać, co tu za praeparatoria na przyjęcie narzeczonej robią. In specie: gonitwy w pierścienie, ognie sztuczne bardzo piękne, komedye i balety, wszystko kosztem kraju. Wczoraj przysłał tu p. starosta ubite w swych dobrach 16 sarn i 8 dzików, Ze wszech stron dosyłają, że mnie aż oskoma bierze [3]) i chciałbym tylko tyle mieć w Brzegu co się tu zmarnuje." Cała też podróż księżniczki była tryumfalną. Miasta przez które przejeżdżano zawodniczyły ze sobą co do przepychu przyjęcia. W Wielkim Głogowie przedstawiono dnia 10go Października żart dramatyczny „Głóg zakochany" [4]) w niemiecko szląskim dyalekcie. Tylko Wrocław stanowił wyjątek i tłomaczył się ubóstwem. Zamiast defrayer cały orszak, deklarowano dać 20 wiader wina, 8 mierzyc owsa, a siana i słomy co potrzeba. Lecz Dominus Capitaneus tj. Baron August i Kanitz tej ofiary nie przyjęli, bo nie była sponte, lecz jakby z musu deklarowaną. Orszak składał się z JOXci von Simmern, Jego Książęcej Mości księżniczki jej ochmistrzyni, 3 dam dworu, 2 ochmistrzów, radcy dworu doktora praw, kaznodziei i sekretarza i 8 junkrów (dworzan szlachty). W orszaku było posłów trzech: brandeburski simmeryjski i brzegski, z tym ostatnim razem radca książęcy, marszałek, koniuszy i 6 junkrów. Wszystkiego razem osób 80 i 100 koni.

Gdy w r. 1664 książe Jerzy wydawał córkę swą z pierwszego małżeństwa Dorotę Elżbietę za księcia Henryka Nassau-Dellenburg zapoznał się August, naówczas już wdowiec po swej pierwszej żonie, na weselu z siostrą pana młodego a drugą córką księcia Jerzego Ludwika Nassauskiego, Karoliną, księżniczką zu Nassau, hrabiną zu Katzenelenbogen, Wianden i Diez, panią na Bilstein. Brat i syn panujących książąt, właśnie przez w tym roku zaszłą śmierć brata Zygmunta odziedziczywszy lenne dobra Kurtwitz, Niederrudelsdorf i Johnsdorf, a w ten sposób zdublowawszy swój majątek, tak więc pan pięciu włości, a przez cesarza pod dniem 12 Stycznia w Ratysbonie mianowany motu proprio w uznaniu zasług przez książęta brzegsko lignickie położonych hrabią Krolesswa Czeskiego i krajów do tegoż należących [5]) mógł śmiało sięgnąć po rękę księżniczki. Tego też roku 1664 doszło to małżeństwo do skutku.

Książe Jerzy umierając obligował księcia Chrystyana sukcessora swego a już jedynego jeszcze żyjącego brata, aby o lepszem zaopatrzeniu księcia Augusta pomyślał. Gdy zaś dobra lenne przez rodzinę Czirn posiadane, po wygaśnięciu tej familji do panującego wróciły, książe Chrystyan listem swym donacyjnym z dnia 9 Marca 1665 w Oławie datowanym „w uznaniu położonych zasług i w dowód braterskiej przychylności" nadaje mu, za zwrotem posiadanych dotąd dóbr lennych Niederrudelsdorf i Johnsdorf (wartości ogólnej 11.000 tal.) dobra Prieborn, Siebenhufen, Kummendorf, Tschammendorf, Arnsdorf, Habendorf, Katschkowitz i Detzdorf (7 wsi i 6 folwarków) wraz z lennem kościelnem, z wyższem i niższem sądownictwem i z kamienicą w mieście Strehlen, wszystko wartości 60.000 tal., z wyjątkiem kopalń i z nałożeniem obowiązku dostarczania drzewa do nich. Obdarowany napisał na liście nadawczym: „Że donacją niniejszą, w powyższy sposób opisaną, powolnie z podziękowaniem przyjmuje i za siebie i mych mężkich potomków na wszystkie w niej wyrażone rezerwaty i warunki przystaję, zeznaję rozmyślnie i stanowczo mym podpisem i mą, z rozmysłem przyciśniętą, pieczęcią. Działo się w Brzegu dnia 24 Marca 1665 roku."

Na dobrach tych ciężyło jednak 6841 tal. długu.

Wtedy też opuszcza on dwór książęcy, poprzedniego roku zaraz po śmierci księcia Jerzego złożywszy godność namiestnika i starosty ziemskiego i przenosi się z żoną do Siebenhufen. Tamtejszy bowiem dom mieszkalny [6]) wesoły i w dobrym stanie

[1]) Wir erschreklich besaufet werden.

[2]) Nawet w Księstwie Siewierskiem, do biskupa krakowskiego należącem były urzędy według szląskiego, a nie polskiego zwyczaju urządzone. I tam był Capitaneus Terrestris i judex generalis Ducatus Severiae.

[3]) Die Zaehne waessern.

[4]) Die vierliebte Dornrose, przedstawiony znowu dnia 22 Lutego 1865 przez członków Tow. histor.-archeologicznego w Wrocławiu.

[5]) Tak się wyraża notyfikacja cesarskiego starostwa generalnego Stanom Szląskim w tej mierze pod dniem 24 Syczenia 1664 r. uczyniona.

[6]) Das wolerhaltene und freundliche Schloss zu Siebenhufen. Porównać przypis Nr. 37 na stronie .

lepiej się nadawał na rezydencyą niż dom w Prieborn, przez Szwedów 1643 r. spalony, jeszcze w r. 1654 w gruzach leżący, a później dopiero przez brzegskie książęta, od biedy odbudowany.

Pomimo tego książe Chrystyan często zdania brata swego w publicznych sprawach zasięgał, zamieściwszy go na liście owych radców, ktorzy w majątkach swych mieszkali, a tylko w razie potrzeby do współudziału w posiedzeniach zapraszani bywali.

Dowodem jak wysokiego poważania August u spokrewnionych książęcych dworów używał, jest także, że po śmierci księcia Sylwiusza Nimroda Wuerttemberg-Oels, w r. 1664, obrano go głównym opiekunem pozostałych małoletnich.

Z drugiego małżeństwa nie miał hrabia August potomstwa. Tym straszniejszym ciosem była d'a niego śmierć jedynego syna Chrystyana Augusta, który w 16 oku życia zmarł na ospę dnia 26 Maja 1671 r. Pełen serca (jak niegdyś ojciec jego) zapisuje w skutek tego testamentem z dnia 18 stycznia 1573 cały majątek drugiej swej żonie „gwoli doznanej małżeńskiej wierności, dobrego pożycia i prawdziwie rzetelnej przychylności“ [1]). Także panujący książe Chrystyan zezwala by lenne dobra brata, po tegoż śmierci przeszły na wdowę ad dies vitae, i dopiero po jej zejściu ze swiata do książęcego skarbu wróciły. Przywilej datowany dnia 12 Stycznia 1672 (jeden z ostatnich aktów tego księcia) kończy się jak wszystkie przezeń wystawione dokumenta dewizą „wytrwale, książęco, prosto“ [2]).

Szczegółowych wiadomości o jego sposobie życia i urządzeniu się nie posiadamy. Nie podlega jednak wątpliwości, że był łaskawym panem dla poddanych i tolerantem pod względem religii. Chociaż bowiem, z powodu istniejącej naówczas nienawiści między augsburskiem wyznaniem, do ktorego cała jemu poddana ludnosć należała a jego helwecką konfessyą, musiał sobie osobnego kalwińskiego kaznodzieję trzymać do swej nadwornej kaplicy, jednak sprawił w r. 1668 dwa piękne dzwony do miejscowego luterskiego kościoła, do którego przecież wcale nie mógł uczęszczać.

Gdy dnia 28 Lutego 1672 r. w Lignicy, ostatni z panujących trzech braci, książe Chrystyan zakończył życie, odziedziczył tegoż syn jedyny Jerzy Wilhelm, naówczas 12-letni połączone trzy księstwa. Stosownie do rozporządzeń testamentu księżna Ludwika, matka małoletniego objęła regencją, mając sobie dodanych jako współopiekunów brzegskiego radcę Chrystyana Roth i hrabiego Augusta. W tym też charakterze asystował ów ostatni składaniu homagium przez miasto Strehlen. Rota przysięgi opiewała: „gdyby dzisiejszy dziedzic tych księstw zejść miał „ze świata bez męskich potomków, slubujemy że Jego Cesarską „Mość, jako krola czeskiego, uznamy za naszego prawowitego władcę.“ Wtedy już przypuszczano możebność wygaśnięcia książęcego rodu, a obecny aktowi stryj panującego w rachubę więcej nie wchodził.

Słusznie zdaje się autor nasz przypuszcza, że powodem cofnięcia się Augusta w domowe zacisze była chęć oszczędzenia żonie upokorzeń, jakieby dla niej płynęły z zajmowania wobec panującej księżny, rownej sobie urodzeniem i bratowej, podrzędnego stanowiska, jako małżonki hrabiego.

Syn i brat panujących, udzielnych książąt, z księżniczką ożeniony, musiał on żyć dworno i po pańsku, gdy ówczesne zwyczaje wymagały, by nawet każda baronowa miała paziów i szlacheckie panny na swe usługi. Nie wystarczały mu też posiadane dochody i ciągle, do końca życia musiał walczyć z finansowemi kłopotami. W piśmie z dnia 15 maja 1675 r., którem synowcowi objęcia rządów winszuje, skarży się na swe położenie, i powiada że „bardzo jest uciemiężony niemożebnym do zniesienia ciężarem zbyt wysokich indykcyj podatkowych na swych dobrach i ztąd pochodzącą koarktacyą swego położenia. Przyznaje że rodzic księcia wyświadczył mu łaskę nadaniem lenności Prieborn, ale że gdy się zważy jakie onera i prestationes na tych dobrach ciążą w obecnych żelaznych czasach, to się pojmie, że chwały godna dobroczynność conferentis zamierzonego efektu nie osiągnęła.“ Uprasza więc o dożywotnie zwolnienie go od podatków książęcych, coby dla skarbu wielką ujmą nie było, a jego od zupełnego zniszczenia i upadku urotowało.

Nie znamy jaka na tę prośbę zapadła rezolucja, gdyż książe Jerzy Wilhelm już dnia 21 Listopada tegoż roku żyć przestał. Przy egzekwiach w kościele w Brzegu odbyłych zamieszczono obraz z drzewem genealogicznem rodu. Na wierzchołku onego wypisane było imię zmarłego. Ręka z obłoków wychodząca łamie ów wierzchołek. Stryj nieboszczyka, Piast hrabia August Lignicki, asystował pogrzebowi ostatniego Piasta. On nic już nie znaczył.

Upomnieć się o przodków dziedzictwo było obowiązkiem, choćby przez wzgląd na pamięć matki ogólnie za księżnę uznanej. Nietylko żona i bratowa go do tego zachęcały, ale i zmarły synowiec Jerzy Wilhelm pisał do cesarza w tym przedmiocie, już na śmiertelnej pościeli, mówiąc, że co do stryja jego «nie «inna jakowa niezdatność, lecz tylko zaniechanie przez ojca wy«raźnej prowizji jest powodem zakwestjonowania następstwa.» Jedzie więc August wraz z Ludwiką księżną wdową do Wiednia, aby cesarski Oberamt w Wrocławiu powstrzymał się z objęciem księstw w posiadanie, do czego już przedwstępne poczynił kroki i by pozyskać następstwo choćby w jednem z takowych. W suplice podanej cesarzowi dnia 27 Grudnia 1675 mówi: «że ojciec «jego książe Jan Chrystyan, intercyzą ślubną z matką jego w Brze«gu dnia 24 Czerwca 1626 spisaną, upośledził go w samej rze«czy względem braci i ich sukcessorów, pod względem dziedzi«czenia, ale tylko w ten sposób, że jedynie tak długo, póki bra«cia lub tychże męskie potomstwo istnieć będą, on niema uży«wać książęcych prerogatyw; przez co właśnie ojciec stwierdził, «że dzieci drugiego małżeństwa nie są wykluczone od sukcessyi «w razie wymarcia książęcych potomków. Przez swe dyspozycje «i restrykcją jurium successionis chciał ojciec ubezpieczyć blask «rozkwit i konserwacyą familii, i nie można przypuszczać, by był, «gdyby mógł przewidzieć fatalum terminum, podającego tj. swe«go syna z drugiego małżeństwa ekskludował od sukcessji..... «Lecz podający, w najpoddańszej dewocyi, prescinduje od wszel«kich prawnych dowodów i błaga znaną światu klemencyą ce«sarza, aby go raczył, ostatniego Piastów potomka, stosowną «cząstką ziemi i ludzi przez przodków jego posiadanych inwesto«wać». Powiada wreszcie, że gdy niema potomków, a dla ubywających sił i zbliżającej się starości, krotko tylko jeszcze żyć może, cesarz nie na długi czas pozbawi się posiadania tego kawałka, który mu rzuci dla zapewnienia uczciwej egzystencji.

Pod dniem 4 Stycznia 1676 r. otrzymał tę wymijającą odpowiedź, iż póki cesarz od księstw homagium nie odbierze, nic decydować nie może, lecz że swego czasu wyda rezolucją. Oczywiście, że po odebraniu od kraju hołdu jużby mowy o nadaniu być nie mogło. Przyspieszono więc tę czynność i odebrano w d. 27 i 28 Lutego od księstw osierociałych przysięgę.

Nie zraża się tem August i ponawia swe podanie na ręce komisji do objęcia księstw wyznaczonej, i prosi ją pod dniem 22 Marca by jego petitum u cesarza swę rekomendacją poparła. Powstrzymawszy wszystkie argumenta powiada dalej: «w głębo«kiej pokorze upadając do nóg Waszej C. K. Mci upraszam bła«galnie, byś moją sprawę wziął do serca i z promieniącej swej,

---

[1]) Um empfundener ehelicher Treue, guten Verhaeltnisses und recht inniger Zuneigung willen.

[2]) Bestaendig, fuerstlich, aufrecht. Ostatni wyraz, jeżeli ma mieć sens, a nie być synonimem pierwszego, trudny do przetłomaczenia.

«podobnej do niebiańskiej dobrotliwości, zaopatrzył mnie prowi-«zyą, któraby była analogia dignitatis mych przodków [1]. Tu więc już o rocznej pensji, a nie o inwestyturze jest mowa.

Znowu w roku 1677 podaje prośbę do dworu. Odesłany do komisji, zwraca się do niej pod d. 5 Lipca. Nareszcie władza ta przeprowadziwszy poprzednio rozdział allodyów od lenności książęcych i pod d. 29 Marca 1678 r. zaspokoiwszy pretensye pozostałych po księciu Chrystyanie wdowy i córki, przyznała mu nakoniec dożywotnią pensyą 6000 złr. Niedługo z niej korzystał, umarł bowiem dnia 14 Maja 1679 roku w Siebeneichen mając lat 52.

Gdy w żadnym z trzech w dobrach jego położonych kościołów pozostała wdowa, choćby i najskromniejszego pomnika, tablicy, lub jakiejbądź pamiątki nie położyła, nie znalibyśmy nawet miejsca jego spoczynku, gdyby nas w tej dopiero co znaleziony testament nie objaśnił. W nim bowiem wyraża, że życzyłby sobie, jeżeli czasy będą spokojne i to będzie możebnem być pochowanym w Prieborn, w tamtejszym grobie, obok syna swego. Pogrzeb odbył się dopiero dnia 28 Września.

Dlaczego tak późno? Nie budowanie grobu tego przyczyną, bo grób już istniał gotowy, nie stawianie pomników, bo ich nie postawiono, nie przygotowania do wspaniałego obrzędu, bo byśmy opis takowego znaleźli w zapiskach aptekarza Felckel, serdecznie do Piastów przywiązanego, a który nam właśnie tę zwłokę tłomaczy. Oto dlatego, że przez zajęcie się żywym, czuła wdowa, o nieboszczyku nie myślała. W 21 tygodni bowiem po śmierci a w 10 dni po pogrzebie Augusta poślubiła ona bowiem Ferdynanda Goberta hr. zu Aspremont, Dun & Reckheim, barona zu Borschheim, Thiene und Steinbach, pana zu Blaringen, Hontheim, St. Simeom & Onze.

Gdy tylko córki, jeżeli same pozostały po śmierci lennika, spłacać musiał $^{1}/_{5}$ częścią wartości dobr pan lenny, do którego feudum wracało, wdowa zaś do spłaty nie miała prawa, a dalej gdy wdowa przez powtórne za mąż pójście traciła prawa ewentualnie do dożywocia nabyte, oczywiście więc i hrabina Karolina powinna była kontentować się allodyalną po pierwszym mężu sukcessyą, składającą się, oprocz ruchomości z dobr Kantersdorf, Neudorf i świeżo allodyfikowanych Kurtwitz. Pomimo poprzednio otrzymanego przywileju na dożywocie, należało lenną włość Prieborn opuscić, a zdać się na łaskę cesarza, ażali i wiele zechce jej wypłacić bonifikacyi.[1] Inaczej się jednak ona na te sprawy zapatrywała. Dopraszała się by jej pozostawiono ową pensją 6000 zł. zmarłemu przyznaną, a procz tego likwiduje 53.639 złr. 40 ct. najbezczelniejszych pretensyj [2]).

Dziwić się należy, że cesarz, który względem Augnsta wcale nie był do szczodrości skorym, dla wdowy jego istotnie wiele względniejszym się okazał. Wytłomaczono jej wprawdzie jasno, że do pensji zmarłemu przyznanej, żadnego prawa niema, ale, przy pozostawieniu jej realności do Prieborn dokupionych wypłacono jej jeszcze 10.000 złr., które też ona oczywiście najchętniej przyjęła.

[1]) Mit den Strahlen Dero himmelsaehnlichen Guetigkeit.

[2]) Żąda ona np. za dobra lenne Johnsdorf i Niederrudelsdorf, wartujące razem 12000 tal. oddane przez hr. Augusta w zamian za otrzymane feudum Prieborn 28.000 złr., za długi spłacone z tej donacyi przez niego 8229 złr. a za poczynione amelioracye 7254 złr.: nie zważając na to, że lenno, dziedziczące się przecież w linji męskiej, jest rodzajem własności, i że lennik długi spłaca i amelioruje dla siebie i swoich potomków. Domaga się zwrotu 3000 złr. jako wniesionego posagu i przywianku, lecz kwota ta znajdywała więcej niż dostateczne pokrycie na substancyi mężowskiej.

Jedynie ugruntowanem jest żądanie zwrotu pieniędzy wydanych na przykupno realności, bo te tem samem były allodyalnemi, stanowiło to summę 1956 złr. i żądanie spłaty połowy wartości obsiewów, inwentarzy, zapasów zboża, ryb itp. w kwocie 4400 złr., a zatem razem żądanie 6356 złr.

Musiała jednak spłacić długi pierwszego męża. Winien on był szwagrowi swemu baronowi Wilhelmowi von Rupa 11.000 złr. Dorocie Elżbiecie, córce Jerzego III., żonie księcia Henryka Nassau Dillenburg synowicy swojej 1000 złr. i na podróże do Wiednia od miasta Brzega w r. 1677 wypożyczone 1000 złr., razem więc 13.000 złr., prócz tego potrzebowała funduszów na pogrzeb i wesele. Sprzedała więc niewiele się namyślając Wilhelmowi Rupa majętność Kurtwitz za 13.000 złr. Siegfriedowi Erdmanowi von Zierotin za 5000 złr. dobra Kantersdorf i Neudorf, i uratowawszy w ten sposób około 15.000 złr. opuściła Szląsk w roku 1681. — Umarła na Węgrzech w r. 1686.

Autor, którego prace w treści tutaj powtorzyłem, Dr. Schimmelpfennig, choć obcy nam pochodzeniem i wiarą, pełen zacnego oburzenia, potępia surowo Karolinę, że nie umiała lepiej uczcić pamięci ostatniego potomka królewskiego rodu Piastów, co 800 lat liczył pełnego chwały istnienia i kończy temi słowy: «Jeżeli serca, co go kochać były powinny, tak prędko go zapomniały, co się dziwić, iż go i historja zapomniała, gdy on nawet w małym kraiku, w ktorym życie przepędził, nie miał sposobności by odegrać wpływową na wypadki rolę.»

O ileż w naszych oczach smutniejszym ten cichy i nieznaczny koniec tej sławnej, pierwszej dynastyi co zdołała uorganizować i skonsolidować Polskę, ratując ją zarazem od podobnego losu, jaki spotkał zachodnio-północną Słowiańszczyznę, Obotrytów, Lutyków, Wilków i owych Sorabów, których dotąd zaledwie garstka jeszcze istnieje.

Nie będę tu badał, czy Szląscy Piastowie, i w czem zawinili, czy powinni byli niektorzy z nich obce przyjmować wyznanie, pomagać w germanizacyi kraju, a wszyscy uznać czeskich królów zwierzchnictwo nad sobą. To pewna jednak, że znalazły się i łagodzące okoliczności, któreby za nimi przemawiały. Polska ich odsunęła dd siebie. Pod Jagiellońskiemi rządami duszno było Mazowieckim i Zatorsko-Oświęcimskim książętom, a w wytwarzającej się szlacheckiej republice byliby anachronizmem. Chcąc byt swój ratować tak musieli się z książęco-oligarchicznem cesarstwem rzymskiem łączyć, jak przed wiekami przodkowie ich Mieszko i Wielki Bolesław to czynili, nawet naprzeciw pokrewnych ich Pomorzan lub Lutyków. Lecz niejeden z nich szczerze sprzyjał Polsce, jak żeby tu tylko dla przykładu przytoczyć: ostatni Opolsko-Raciborscy książęta Mikołaj i Jan.

Lecz co wątpliwości nie ulega, pozostała wśród ludu wdzięczna pamięć ich szlachetności, łagodności, pobożności i dobroczynności, ktore nawet obcoplemienni uznają. Piszący zaś te wyrazy, sam rodzinnemi wspomnieniami ze Szląskiem złączony, a wiernych sług Piastów potomek, potępiać ich w żaden sposób nie zdoła.

S. M.

TO NIC.

(Laideur et beautée).

Tak olśniewa, tak wszystkich zachwyca
Wdzięk ów, którym moja białolica
Wciąż roztacza w koło siebie czar.
Że w badaniach mej miłości dla niej,
Niepokoi mię ta myśl i rani,
Iż, gdy tysiąc niosą serc jej w dani
Cóż jej waży mego serca dar?
— Kochałbym cię, raz więc rzekłem sobie,
Gdyby nawet piekło w jednej dobie
Starło piękność z twych anielskich lic!..
Stań się brzydką, — nawet brzydką bardzo, —
Ja, choć tłumy wówczas tobą wzgardzą,

Rzeknę: Luba! To nic, ach — to nic!..
Równą miłość żywię wciąż ku Tobie
Rajem, niebem ja ci życie zrobię!..
Bądź więc brzydką... O, to nic, to nic!..

Nierozważnie słówko się wyrzekło, —
Lecz je zaraz usłyszało piekło,
Bo ma ostry w takich razach słuch:
Wszak szatańskie iście to roboty —
Złe tam wszczepiać, kędy kwitną cnoty,
I przerabiać piękność na brzydoty...
Więc się zaraz zjawił czarny duch...
„Twoim chęciom — rzecze — zadość czynię...
„Miło mi jest nawet — twej dziewczynie
„Róże, lilje zwiać z niebiańskich lic...“
Wionął trzykroć swem błoniastem skrzydłem —
I rzekł:—„Patrz, już piękność jest straszydłem!..“
— Prawda!.. Ale — to nic, ach to nic!..
W grobie chyba moja miłość minie!..
Będzie mniejsza niźli w tej godzinie
Chyba w grobie!.. Więc—to nic—to nic!..

„Ja straszydłem??..“ — przelękniona, zbladła
Jąka luba, spiesząc do zwierciadła...
„Jest to potwarz, albo lichy żart!..“
Szatan szepce: „Niechno się obaczy!..“
Jakoż słyszę, że w wielkiej rozpaczy
Krzyczy dziewczę: „Nieba! co to znaczy?..“
Głosem takim, że aż zadrżał czart...
Do łez wzruszon jej boleści siłą,
Na kolana rzucam się przed miłą,
Choć brzydota razi z lubych lic...
— Skarbie! — mówię — po cóż żalu dreszcze?..
Ja cię kocham teraz bardziej jeszcze!..
Brzydką jesteś — lecz to nic — to nic!..
Byle dla mnie serce twoje biło,
Byle o mnie w snach ci się marzyło,
Tylko o mnie, — to nic, och — to nic!.

Próżno!.. Dziewczę we łzach wciąż się nurza...
W mojej piersi walczy uczuć burza,
Bo mię wzrusza jej serdeczny jęk...
Mówię tedy: „słuchajno szatanie!
„Chcę wnet ujrzeć wszystko w dawnym stanie...“
A czart rzecze: — „Jam to wiedział panie:
„Łzy niewieście — to dla djabła sęk,
„Cóż dopiero dla was, słabych ludzi!..
„Lecz obaczysz, co się w niej obudzi,
„Gdy brzydota z jej uleci lic!..“
Dmuchnął... „Patrz: już piękną jest, jak była!..“
— Słyszysz? — rzeknę — gołąbeczko miła, —
Znowuś piękna!.. Lecz to nic, to nic!..
To miłości mojej nie ostudzi
Chociaż w innych znowu zazdrość wzbudzi...
Bądź spokojna! O, to nic, to nic!..

— „Znowum piękna?..“ luba mię zagadła —
I corychlej pędzi do zwierciadła...
— „Tak! — szepnęła — straszny to był żart,
„Lecz się skończył...“ I otarła oczy...
Ale dziewczę coś się na mnie boczy
Jej twarzyczkę chmurka gniewu mroczy...
— Cóż to? pytam—gdy tymczasem czart
Znikł mi nagle z djablim swym chichotem —
— Zkądże gniew ten, co przeszywa grotem
Serce, kiedy tryska z twoich lic?
Mów, bo piersi mi z rozpaczy pękną!..
„Chciałeś, abym przestała być piękną
„Dla miłości twojej?... Jesteś fryc!..
„Więc, kochanku, kiedy wiesz już o tem, —
„Pogódźże się z tym swoim kłopotem, —
„I mów sobie: to nic, och — to nic!..“

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

MAŁPA-CZŁOWIEK.

NIEZNANA SATYRA Z XVIII W.

Dokończenie.

«Już i jejmość z drobiem dziatek swoich we dworze na zimnie bez drew w zęby jak w cymbały dzwoni, głód cierpi, spiżarkę wyszafowała, piwniczkę wyszynkowała... A mój miły nad babami Herkules, jako bela opity namiestnik zębami zgrzyta, na wąsy dmucha, jako papuć gębę odyma, władzą swoją bryka, ludziom przystępu, krzywdzie ucha, mizeryi serca, zbytkowi wstrętu, skargom sprawiedliwości nie pozwala...., ale hola, hola mój miły bohatyrze! na odwód proszę, nie tu dokazywać pole twoje, nie tu plac ubogich chałupki, w których jak w jazwce (?) [1]) mizerne siedzą, wywracać i krwawić, albo z mizeryą ludzką pasować się okrótnie, dla której ochrony powołanie wasze krew lać i umierać rozkazuje koniecznie.» Ale gdzie tam myśleć o tem żołnierzowi, kiedy «bronią władnie trwoga, szablę lekką jak piórko przypasuje moda, drugą niedbalstwo i niedozór do skórki węgorzej przykleja nieużytecznie; kopia ręki niema, kurek panewki nie zna, sajdak z wiatrem igra, szkapa na ogień klęka, na huk wędzidła nie czuje...» To też obecnie żołnierz polski stał się pośmiewiskiem obcych, a «inwencya cudzoziemska» wprowadza na zabawne sceny, komedje i opery całą jego pocieszną fantazyę, brawurę, stąpanie, ułożenie, junakieryę... przy nas samych i z pomocą chichotając ze wszystkiego do woli.»

III.

«Jako w cnotach, tak i obyczajach cale się nie mamy proporcyonalnie do oblicza ludzkiego z twarzy boskiej przeformowanego, co samo pokaże się w kroju.» *Małpa-człowiek w kroju* jest więc trzecią i ostatnią częścią satyry, «jako bowiem małpa chęcią i naśladowaniem rada się bierze do ubioru ludzkiego i przez zdradliwy stroju sposób wikła się i dostaje połowem w ręce człowieka... tak i człowiek według inklinacyi nieostrożnej do mody i krojów przeciwnych naturze, ułożeniu, miejscu i stopniowi swojemu, naśladując małpy, sidła się nieuważnie w kosztowne długi, w szacowne expensa, w słuszne cenzury i błazeństwa u ludzi, wychodząc z znacznych dziedzictw, fortun, skarbów i własności domu i imienia swojego. Albo bierze na siebie postać i figurę owych komedyonalnych błaznów i trefnisiów, którzy... przerabiają się i układają w różne maniery i kroje obcych, na pocieszną patrzących zabawę. A jakoż się przez Bóg do woli i rozpuku nie śmiać, kiedy się rzecz sama podaje ogromnie do tego przez ucieszną nieproporcyą kroju do kibici, kibici do stroju, stroju do osób, osób do gatunku, gatunku do intraty, intraty do kosztu, kosztu do stopnia, stopnia do kapitału i substancyi, substancyi do utraty i zażycia, zażycia do niewczesnego żalu i dobrowolnej mizeryi, zgoła wszystkiego nie do twarzy, sposobności i powołania.» Wszystko to zaś obaczy się obszerniej «w następujących podziałach partykularnych, a naprzód — *w podziale kroju białogłowskiego.*»

Nie idzie tu autorowi o wytworne i powabne stroje. Kto na nie ma—niech się niemi cieszy i chlubi. Chodzi mu tylko o wydatki na stroje, przechodzące możność ludzi średniej, szlachetnej fortuny. «Żebym zaś przez bezpieczeństwo prawdy nie uraził kogo, biorę się z obserwancyą do nóg delikatnych, a póki granica pozwala, uważam trzewik, dratwy i kroju turobskiego, jako prośniak bohany, pończochę jedwabiu czyli sztamentu koziego, niby

[1]) *Jaźwce?* borsuki?

tłumok sudanną [1]), podwiązkę jej z ołowiem szlakowym, szlak koszuli w nici pracowitej, zapracowanej i ostrej, spodnicy duhat i podszewkę z pod szczotki; róg na szyję złodziejom przyzwoity. Widzę modny na wierzchu parter z kilkadziesiąt szacownych łokci wymierzony, modno, dostatnio i sudanno na szlak teraźniejszy pofałdowany, pokawałcony i urobiony. W nim wyjewodzinę albo inszą od krzesła i kondycyi damę uczcić by się godziło, ale że wierzchni zbytek, spodni niedostatek garnitury znaczą, tedy kogoś inszego od pysznej emulacyi, a nie od intraty strojnego poznam.» Gdzież są karety, sługi i cugi do tego stroju odpowiednie? «Facyatę dym wskróś przejął, wewnątrz pluskwy zasmrodziły, czerw na wylot strawił, kiczka [2]) zaniedbana odkryła..... zwierciadło mysz pod ścianę zawlekła, jegomość na pańskie woła jejmość z warzechą się uwija, a przecie garnitury, stroje i mody aż przez morza Paryż przysyła... Pytam jeszcze zkąd przecie koszt i dochody na to? Maciek zrobi, Maciek zje; wół za granicę nie pociągnie, skiba do Gdańska nie wyprawi, gęba i potrzeba dosyć nie mają, dzieci z..... i połyskują, niedostatek w domu świta, a przecie w nim *Musiu Michel* przy kaganku kraje, deseń układa, do szlaku, jako strunę baranią, defekt materyi wyciąga, jejmość do miary coraz się nadstawia, jegomość jak na ukropie gołym z.....m siedzi, niecierpliwy i bojaźliwy, aby znowu po przydatek do szlaku na kliny albo falbany do kramu posyłać nie musiał, zastawiwszy na dwa łokcie ostatniego półchłopa.» Na to wszystko jest pospolicie odpowiedź: tak moda każe, «tak i pani wojewodzina, kasztelanowa i tam insze od czoła damy modne stroją się i przystojnie udają. A tu serdecznie rozśmiać się muszę. O niepomiarkowana rozumem płci słabiuchnej emulacyo.... A kędyż róg do ufnala, gdzie są te majętności i intraty wojewodzin i kasztelanowych? Nie jeden klucz przez ręce kredytorów przejdzie, aby do kosztownej garderoby drzwi otworzyć» Zresztą wielkie damy mają sposobność pokazania swych strojów: «wolne publiki, kompanie, wizyty akty i ozdobne przytomnościom królewskim asystencye. Mają publiczne o sobie poczty, gazety, wiadomości i relacye...» Ale co tobie po tym zbytku mościa wojska upicka, albo podczaszyno derpska? Męża krzywdzisz i rujnujesz, a sama nic z tego nie masz. Jeżeli to czynisz dla szacunku osoby, to próżny zawód

Bo i dudek pstry bywa, a w ozdobę przecie
I w smak stołów nie wchodzi z bażanty w pasztecie;

jeżeli dla naśladowania i emulacyi, to sama z siebie żartujesz,

Bo i głowacz nie jest główna ryba, choć to bywa,
Że przez siłę pod wodę z jesiotrami pływa;

jeżeli dla podniesienia swych wdzięków poniszczonych latami, to mylna twoja rachuba,

Bowiem wiara powszechna ludzi na tem stoi,
Że orłowi południe, noc sowie przystoi.

A może dla przypodobania się mężowi i odświeżenia jego uczuć miłosnych? Ależ to rzecz zbyteczna,

Kto bowiem żabę kocha, rozumie że pannę
Z bogiń kocha piękniejszą nad insze Dyannę.

Strojnisie takie narażają się na żarty, na ludzkie obmowy. Nawet nazwać strojów nie umieją, zasłyszawszy coś o nich tylko zdaleka i przekręciwszy. Kupiec «przez wstrzemięźliwość śmiechu nieraz krwią plwać musi, kąsając język przy towarze swoim. Będzie tam bowiem i: musiu, mości panie, pokaż mi waszeć *pater* [3]) z materyi *paruskiej* [4]); tylko niech będzie na niej *rexem* [5]) modny, a kolor *amorat* [6]); potrzebny mi i *pastor* [7]) pod kamizelę, ba i *rochatyna* [8]) *w pensowym* [9]) kolorze itd.» Za paniami idą ich sługi. «Jeżeli pani pokaże się jak beczka, pewnie sługa przyczyni obręczy, wydawając się jako kufa ogromnie i tak szeroko, że się ludziom zdawa, iż ta dama zdobiąc tusz swoję, nie bywa bez czopa.» Za sługami idą mieszczki, nie wspominając już o pannach «z lupanarów.» Paryż nadaje prawa modzie, ale tam tylko bogate i wysokiego rodu damy do niej się stosują. Każdy stan ma własny ubiór, nie naśladuje jeden drugiego. U nas zaś nie poznasz: która matka, a która córka, która wojewodzina a biedna szlachcianka, która pani a sługa, która praczka a senatorka. Dawniej jedna i ta sama materya przechodziła w spadku z matki na córkę, a nawet wnuczka w tejże koronce i przerabianej szubce ludziom się pokazywała, w której babka szła do ołtarza.

Przystępujemy do ostatniego rozdziału satyry, którego przedmiotem jest *strój męzki światowy*. Autor nie rozumie prawdziwie, «żeby ktośkolwiek, poznawszy rzecz dyskursu niniejszego na sobie, rozgniewać się... musiał, wprzód albowiem niż ona przed oczy wynijdzie, każdy pójdzie za pochopem mieniących się ustawicznie krojów naszych i przeinaczy się tak usilnie, że od porzuconej przed kwartałem mody jakoby wiekiem całym zdadząc się być oddalony, wszystko to co tu o sobie samym prawdziwie przeczyta, nie sobie, ale raczej dziadom, pradziadom i naddziadom swoim należeć przyzna.» Przedewszystkiem gniewa satyryka, że wielcy panowie nic «do szlaku godności, pańskości i dostojności» nie noszą. Nie zobaczysz na nich owego «wieczystego półgranacia [1]), szkarłatu, fioletu, aksamitu, półpalcowego atłasu i adamaszku.... sobola i marmurka» [2]), ale jakieś «wiotkie szypłuchy, ladajakie pytle, podłe z nici i nazwiska łyczaki, kitajki [3])... wilki, barany, popieliczki i bielistki.» Wszystko to zaś tak drogie jak najwspanialsze futra i materye, które przez czas długi wartości nie tracą i są poniekąd majątkiem rodzinnym. Kupcy sprzedając te «błażeństwa,» zyskują jak «na farynie.» Mniejsza wreszcie o gatunek materyi, ale gdzie się podział stary krój polski. Oto «suknia opnie raz z...k jakby weń wrosła tak pociesznie i gładko, że cała jego z podziałem fizjognomja pokaże się jak na afront patrzącym; drugi raz kupa fałdów obłoży, że się zda tonąć jak w bałwanach na morzu; trzeci raz nie dopędzi kupra, jak katanka góralska; owdzie niedostatek a tam zbytek niezmierny.» Powaga sukni jest konieczna, stosować się winna do znaczenia i stanowiska noszącego. «Niech twój modny dworzanin do mody teraźniejszej błazeńskiej z.....m przed tobą i za tobą wierci, pozwalam, niechaj plastrami irchowemi biodra sobie okłada, fałdy łamie, grzbiet pytluje, z...k jak tarcicą taśmuje i w inwencyach pociesznego kroju i gatunku zbytkuje: — tobie bławat dyktowny, sukna okazały gatunek, guz w dyamencie, włos futra czarny, krój dostatni, strój otworzysty słusznie i poważnie należy.» Szlachta naśladując panów, zmienia coraz modę, traci majątki na modne stroje. «Dobrze i nad zamiar pożytecznie bywało przed laty, gdzie każda sztuka ochędóstwa polskiego miała się wieczystym krojem i potem się pod szlak inszy przydała, według owej do wyrozumienia łaciny: a pamiętasz kontuszu quando feresia fuisti, nunc modo żupan eris, postea curta brevis; z której znowu mogła być portka ba i czapka razem Antosiowi pańskiemu.» Żołnierz po te czasy «w atłasowych portkach do pychy haruje, podjazduje i wojennie

---

[1]) Nadobną, udatną.

[2]) Pokrycie dachu ze słomy, snop do „strzechy.“

[3]) Ma być *parter*.. [4]) Paryskiej. — [5]) Deseń. — [6]) Amarant. — [7]) Kastor. — [8]) ratyna. — [9]) ponsowym.

[1]) Grube sukno granatowe.

[2]) Lisy czarniawe marmurowej maści, jedno z najdroższych futer.

[3]) Jedwabna materya gorszego gatunku.

pracuje, ubramowawszy je, jak sznurówkę Dorota, galonem, czyli pasamonem ......» Służba dworska naśladuje w stroju kobiety, włos pudruje, rękawiczki upiżmowane kładzie. Juryści, instygatorzy wszystkich naśladują po trochu: rodzajem rewerendy przypominają księży, kamizolą wdowy, pętlicą dworzanina.... Profesorzy, studenci, «extra limen (za progiem) szkoły i skromności wychodzą pod kroje zbyteczne i pocieszne.» Też samą niewłaściwość stroju napotyka autor u mieszczan i u chłopów.

Po kroju białogłowskim i męzkim światowym przyszła kolej na *krój duchowny*, i taki tytuł napotykamy w rękopiśmie. Ale zaraz po nim następuje: «koniec A. M. D. G.» i czterowiersz:

Żyjcie w górnych ozdobach Chrystusowej wiary
I zbawienia naszego o! święte filary!
Żyjcie w krojów wolności; nie przeszkadzam póty
Póki za pierwszy dyskurs nie zmówię pokuty.

K. Bartoszewicz.

Z UST LUDU.

Podał

Karol Mátyás,

słuchacz praw na Uniw. Jagiel. w Krakowie.

Dokończenie.

Jak w niedziele skrzypków zgodzą, to zaráz w poniedziaek abo we środe jes wesele, jak wto chce. Chto jes bidny, to jes wesele na jeden dzień; jak wto bogatsy, to ji na trzy dni. Jak jes wesele we środe, to jes uobigráwka we wtorek wiecór. Jak jes wesele na trzy dni tak we wtorek, to uobigráwka w poniedziałek wiecór. To jidzie dwóch druzbów ji muzykanty ji śpiwają za uoknem ji grają w kázdem domu dzie mają jiś na wesele. Náwiency śpiwają:

Słonecko zasło, miesiącek schodzi,
jako panu starosieńkowi na dobránoc zagrać sie godzi.

Tak samo śpiwają ji drusckom, to wszyćko jedno. Ktorzy kcą, to jik puscają, dają jim [1]) wódki, chleba z masłem, kołace choć kiej pieką, to jim dają. Potem tańcą dzie przestrono, dzie ciásno to nie. Jak tańcą, to śpiwają przeróżne śpiwki, jakie chto uumié. A do basów płacą po dziesięć centów, po uosiem, po pięć, chtóry bogatsy to wiency, chtory bidniejsy, to mniéj. Tak chodzą uod jednego domu do drugiego, do tyk, co są proseni. Nieráz to jim zyńdzie calá noc; jak noc maa, to sie pośpiesają, zeby dzień nie nadesed, bo w dzień musą sie uubrać i do kościoa jiś, a w nocy to tam sie mogą bele jako uubrać. Ale to náwiency wesel w jesieni, to ta noc długá, to jim ta zydzie zwykle do pónocy. Potem idą tam, dzie má być wesele i tam nocują, bo nieráz muzykanty są i z dziesiąte wsi, to dziezby ta do domu sły. Jak rano wstaną, to sie wszyscy uubirają ji zakładają wesele. A potem do tyk dwoch przychodzą jinsi druzbowie, sześci abo uośmi i razem siendą ze skrzypkami i śniádają. Po śniádaniu to sie wszyscy rozydą, jacy zuostanie starsy druzba ze skrzypkami w domu. A dopiro ci druzbowie, co sie rozydą, sprowadzą wszyćkich na to wesele, starostów, staroście i druscki, uod pirsego do uostatniego. Jak przyprowadzą do domu, to zagrają kázdemu i zaśpiwają:

«Miesiącek zased, słonecko schodzi,
jako panu starosieńkowi i pani starościnie
(a jezeli jes druscka, to sie mowi: i pani druzecce)
na dobry dzień zagrać się godzi.»

Jak sprowadzą wszystkik, to śniádają ji w te śniádanie uodbywá sie «rękowiny». Pán mody siedzi z jedne strony a pani modá z drugie strony, prosto jedno uod drugiego. Koło panie mody jes starsá druscka, a z drugie strony starsá starościna; przy panu modym siedzi z jedny strony starsy starosta, a z drugie reśta weselnyk. Dopiro wtedy jak pojedzą, to sie «rękują». Starsy starosta bierze chlyb i kukiełke i chustecke biáłą na ty kukiełce kładzie ji bierze rence pani młode i pana młodego wiąze chustecką na ty kukiełce, a wszyscy są cicho. Starsy druzba sie uodzywá: „Prose uo uuśmierzenie, cicho mao, aby sie komu w łeb nie dostao, abo mnie sámemu. Pytám sie po pirsy ráz, cy przystajecie, cy nie przystajecie na te leliją, co ją druzecki przez całą noc wiją?“ A wszyscy sie uodezwią: „Przystajemy“. I tak sie jik pytá az do trzeciego razu. A uoni za kázdem razem uodpowiadają: „Przystajemy.“ Dopiro wtedy starsy starosta jik rękuje, przezegná i zapyta sie pana modego: „S cego se ty modzieńce te, co przed sobom widzis, pojmujes, cy z majontku, cy z ładności, cy z boskie wole?“ A uon odpowiadá: „Z boskie wole.“ A znowu sie uone pytá: «S cego se go ty pobirás, cy z uurody, cy z bogastwa, cy z wole boze?“ A uona znowu uodpowiadá, ze z wole boze. Dopiro jim powiadá, ze „jagbyście mieli źle zyć w małzeństwie, to lepi uuwáźcie se przes całom rzysom wesela, to sie mogemy wszyscy roześ i podziękówać panu uojcu ji pani matce, zakiel jesce ksiądz nie związe wám rąk, nie dá ślubu.» Potemu sie pytá uonego: Cy ty más dobrą, nieprzymusoną wole te (jak ji na jimie, Maryjanna) Maryjanne pojąć za małzonke?“ A uon odpowiadá: „Kcę.» Teraz znowu uon sie pytá pani mode: «Maryjanno, cy ty kces mieć tego Jana abo Wojciecha, — jak mu ta na jimie jes — za małzonka?» A uon odpowiadá: „Kcę.“ A teráz mówi starosta: „Bo to nie na rok ani nie na dwa, ale na całe zycie.“ Wtedy przezegná nápirwy uon, dopiro przychodzą rodzice pana modego i pani mode i przezegnają, pobogosławią jik. Dopiro wtedy zaśpiwá starsy starosta:

Darmo moja, darmo,
Zaprzągnę cie w jarzmo,
Juś cie nie wyprzęze,
Jaze w grobie lęze.

Dopiro wtedy jem rosłozy rence. Starsy druzba krzycy: „Pán mody za panio modą a skrzypek za kukiełke!“ Zaráz wtedy skrzypek skocy ji bierze te kukiełke, co na ni rękówali. A skrzypki zagrają wtedy „wiwat“. Wtedy wybirá starsy starosta ji starsá starościna składke lá pana modego ji pani mode. Starsy starosta wybirá uod starościn i uod druscek. Dają po ryjńskiemu śrybła, dwadzieścia centów, dziesięć, wiela wto má. Potem siádają na fury ji jadą do kościoa, co jim ksiądz daje ślub. My jademy do Sonca na furach do kościoa. Jak na bogatem weselu, to druzbowie jadą na koniak piknie uubranyk, bukiety mają za kapelusami, chorup na kuonia a siekirke w gászci. A jak bidniejse wesele to wszyscy jadą na furak. Na pirsem wozie pani modá ji starsá druscka i starsy druzba. Na drugiem wozie siedzi pán mody ji starsy starosta ji druzbów ze dwok i druscki dwie ji starościny ze dwie, jedna starsá a druga taká weselná. A na trzeciem wozie co kto jes na weselu, a na uostatni furze jadą skrzypki. Jak jes blisko do kościoa, to jidą parami. Jak jadą do kościoa, na ten przykład my do Sonca, to druzbowie śpiwają ji szczylają s piscolitów. A bele gdzie na gościeńcu robią jem ślabanta, takie warty, ji musą się uokupić. Weźmie bele co, powrozy abo zerdzi abo ji ze słomy powrósła i zakładają na droge. Ci sie musą uokupić, piniendzy jim nie dają, nájcęści dostają za to wódki ji kołáca na przekąske. Potem ik puscą ji spokojnie jadą do ślubu. Po ślubie jadą do karcmy ji tam tańcą, jedzą ji piją. Pirsy starsy starosta bierze pani modom do tańca ji táncuje, do jedne gászci rózge a do drugie panio modom.

---

[1]) W gwarze tut.: jem.

Jak wytáńcy starsy starosta, to dopiro modsi starostowie táńcą. Jak wytáńcą starostowie, to uoddają druzbie starsemu. Starsy druzba wytáńcy, uoddá wszyćkim modsym druzbom po kolei. A kázdy, co z panio modom táńcy, musi kazać pół garca piwa i pół kwárty wódki i wszyscy piją. Jak druzbowie wytáńcą, zawołają uojca pani mode. uOjciec pani mode potáńcy, uoddá ją swéj zonie ji dopiro matka tańcuje ze swojom córkom i dopiro matka uoddá panu modemu na samem uostatku i ten wytáńcy z niom pare razy. A potem przynoszą z domu kołáce i przekąsają. Jak se pojedzą, to znowu śpiwają ji hulają w karcmie. Koo jedynáste godziny przychodzą wszyscy z karcmy, cae wesele, do domu pani mode na uobiád i uobiadują wszyscy Wszyscy weselni jedzą, tylko starsy starosta nic nie jé ani srzypki nie jedzą, bo grają a uon wybirá piniądze do kwárty abo na talirz. Przed kázdym starostom śpiwá:

Starosta sie nie uubozy,
Cwancygera w basy wozy,
Basista sie nie zbogaci,
Bo má zone, troje dzieci.

Przed kázdym druzbom abo drusckom grá ji śpiwá:

Słonecko zasło, miesiącek schodzi,
panu druzbikowi (albo druzecce) na dobá noc zagrać sie godzi.

Jak pojedzą, to wtedy táńcują a po táńcowaniu wszyscy sie rozydą, kázdy do swojego domu. Na rano, jak jes na dwa dni wesele, druzbowie zganiają wszyćko na nowo. Rano wszyscy sie schodzą na to wesele a kázdy starosta przynosi pół garca abo garniec wódki abo wina ji gęś abo kacke, no wiela kogo stać, a druscka daje kwárte wódki ji kure. Kto przydzie, to kázdemu dają co zjeś, boby na tyla garnusków nie wystarcyło. Jaz dopiro uo godzinie trzeci popołdniu jes śniádanie. Podcás śniádania śpiwają, táńcą i bawią sie.

Po śniádaniu robią „cepiny", cepią panio modom. Táńcuje z niom nástarsy starosta a starsy druzba sie przebierze za kupca i starsy starosta tagze, zbabrani wąglami, wąsy, fawory ty, broda z wągli, sabla z dranki, na gowie cápki bryćkie, powrosłami pookręcane, a starsy druzba má na plecach worek s trzupkami i uuderzá tem workiem i gádá, ze má piniondze a te piniondze dzwonią. To tak piknie patrzy, jak te łochy weselne ciśnie a uubierze sie po drabsku, tak jak to jido na jarmak a przewieszą torbe. Potem starsy druzba kupuje uod starsego starosty panio modom i mówi po cygańsku, ale náwiency po rusku lá śmiéchu, lá dokazowiska. Naprzód táńcuje s pani modom starosta a druzba przychodzi, przypatrujeście, a uon tak hulá z niom, miejsce takie przestrone sie jem zrobi. Jak táńcy, to uon mu mówi: „Predaj mi to bydlontko (abo to statko)".

A starosta mówi: „Spredam, wiela date?"

uOn mu gádá: „Dwa cet" — a uon kce „try cet." Jak sie godzą, to druzba próbuje táńcyć s panio modom a ta kulá z niem, a ze starostom dobrze táńcy. Dopiro uon mu ją uoddá, ze źle táńcy, że kulá, a potemu weźmie ją starosta ji táńcy z niom a podsepnie ji: „Jak cie weźmie drugi ráz, to nie kuláj, dobrze táńcuj!" A potem dobrze táńcuje i kupi jom. Jak sie zgodzą za „try cet," to se jesce wymówi starosta „litkup", to jes wódka, wtórom pán uociec przyniesie na zgode, a uoni piją, a te trzupki rachują na ziemi za nię. A uone, to jes pani modom wezmą starościne do uosobliwe izby i rospletą jo ji uuszczygą ji nozycami warkoc i zacepią jo w chustke, jak baby mają na wsi. Jak ją cepią, to śpiwają ji, naleją wina do skopca, „zeby pani modá bóła mlycná," zeby duzo mlyka dawała i cestują sie i jedzą syr krajany ji wątrobe ji gęsine, to wszyćko skrajane na drobno ji na przetaku noszą i dają kázdemu jeś.

Śpiwają rájwiency:

Jak ci bedą pani modą cepić,
Bedą miały staściny co jeś, co pić.
Jak ci bedzie pani modá w cepcu,
Przynieso nám gorzáłecki w skopcu.

uOna siedzi zacepiona na stołku a wszyscy do nie przychodzą ji dają ji na podołek piniądze, wiele kto moze. A starsy druzba piec rombie siekirkom, róg u pieca rombie tak, jaze uognia daje. Nie ustanie potyl pieca rombać, jaz mu nie przyniesą kwárte wódki, cay koác. Jak mu dá, to uon ustanie piec rombać, podziękuje ji zwołá wszyćkich uobcych, krakowiáków, co to do wesela nie patrzą i dá jim ten koác i te wódke. Potem mają uobiád a po uobiedzie wesele sie zákońca. Podcás uobiadu znowu táńcą i śpiwają cedź jakie śpiwki, ale to ta zwykle roschodzą sie do domu, bo to kázdy jes doś umęcony ji uutłucony.

II.

KRZCINY.

Jak sie dziecko uurodzi, to go krajzbabka nájpirwy uukompie we wanience, potem guo powije krajkom w pieluchy, takie smaty. Jak go uukompie, tak go dá uojcu do nóg ji matce do nóg, aby przyjaźń miało, aby posłusne było uojcu ji matce jak uurośnie, látego go tak nisko kładą. Potem narychtują jakie jádło, picie, a poślą zaráz po tych kumów, jidzie uociec po kuma ji kumeckę, kuogo se ta uobierą, ji razem pojedzą, popiją, dopiro jem mowi: Zbierzcie sie za kumeckę a wy za kuma. A kumotrowie uodpowiadają tak: Je casu nimám, piniendzy nimám, przyuodziwy nimám, mozecie se tam kogo jinnego posukać—tak sie ze zartu wymáwiają. «E juz ta, pádá, musicie być!» — «juści sie uobiecają, potem wypiją, pojedzą jesce: «Juści ta skoro nie kcecie nikej sukać, to już my bedemy.» Dopiro sie zbirają, jidą do domu, zbierz sie, przydą na miejsce, znou jesce mają przyrychtówane, kawy, misa uugotowanego zjedzą i zabirają sie do tego kościoła. Jak jes chopák, niby to dziecko jak jes chopák, jak jidą do kościoła to wezną ji cisną pod próg siekire, zeby był cieślom, abo cisną kopyto, zeby był sewcem, abo ksiązki zeby sie nauucuł na ksiendza abo jakiego uurzendnika, doktora. A jak jes dziewcyna, to podrzucają kluce pod próg, zeby była dobrá gospodyni, zeby klucami rządziuła, zeby zamykała, uodmykała, zeby gospodarztwo miaa; łyzkę tyz ciskają, zeby uumiała dobrze gotówać. No ji siadają na furę ji jadą do kościoła do krztu, siadają kumowie uobidwoje, babka ji uociec i jadą. Jak jes chopák, to jes Jaś, Józuś, a dziewcyna Marysia, Kasia, jak chto chce, to ksiądz uochrzci. Kumecka daje kiędzu dziesięć centow, kum dziesięć, jak wto bogaty, to ji ryjński połozy. Jak wto bidny, to musi dać dziesięć centów. Po krzcinak to jidą dzie do sklepu w mieście, do domu polskieguo (uu Kostyrkiewica abo uu Milera), ponapijają sie, pojedzą, popiją, i te kumowie nakupią tamok kawy, cukru, wina wezną, bułek abo rozków nakupią lá te kumecki, lá te chore, to przywiezą ji dadzą ji do gowy, zeby miaa choć kiej co zjeś, kawy wypić. Jak przychodzą s tem dzieckiem do domu co z wozu slazą, to látają s tem dzieckiem; jak jes chopák, to kum niesie to dziecko do domu, to kum z niem lá'á po jizbie, przewracá po jizbie, bierze gráty, trącá, przewracá, zeby to dziecko takie ciente było. A jak jes dziewcyna, to ją kumecka niesie, kumecka leci tam do nálepy, tam łyzki bierze, przewracá gárcki, po kontak látá s tem dzieckiem, do krów, do złobu zazirá, cy bydło jé, cy pije, zeby to buło ciekawe, dopiro ji przyniesą, ty matce chory na łózko, jak juz wydokazują, powiedzą: más! uOdebrały my uod ciebie zyda a przyniesły my ci katolika uokrzconego, ji dopiro powié jakie

to dziecko, jak mu na jimie, Jaś cy Marysia. W te casy znou jedzą, piją, miso, kawa, wódka, harbata, potraktują sie, śpiwają rózne śpiwki, dokazują, tańcują. Poposyłá po drugik ludzi, dokazują ji śpiwają i jaś sie kawáł w noc rozydą. Na drugi dzień sami przydą ci kumowie, przyniesą znou tronku ji znou piją, traktują sie ji jedzą. Jak pojedzą, popiją, dopiro robią «więziny», Przyjdzie ten kum s kumecką razem do łózka do tego dziecka, dopiro mu więzą, kładą mu za te krajke «więziny», po ryńskiemu śrybła, jako koguo stać, jak bogaty to wiency, jak bidny to mni, zeby był przy piniondzach. To mu darują: «Zeby ci sie piniądze trzymały.» Jesce pojedza, popiją, w nocy sie poroschodzą — i juz po krzcinak.

III.

POGRZYB.

Jak chory człowiek kuoná, tak mu zasuycą gromnicę, dadzą mu do ręki, zdymią go z łozka, zbierą z niego pierzyny, wszystko, ji słozą go na równianą słomę, tak jako słoma długá, tak sie mu pościele, na kłosiach má nogi ku drzwiom, zeby sie ku drzwiom miáł, bo go mają wyprowadzać, ji zeby juz do tego domu nie powróciuł wiency. Jak skoná to mu zawrą uocy, bo tak niemiło, bo sie tak widzi jagby wstáł. Jak umrze, co juz skoná, uozimnieje, to go słozą na ławę abo na desckę, dopiro go uumyją w ciepły wodzie, bo w zimny nie kce puścić, potem go uubierą w biáłe saty, tak go uubierą piknie, jak sie człowiek do kościoła uubirá. Potem mu dadzą zrobić trudnę, jak jes stolárz we wsi; tu robi Fijáłek abo Tomas (Górka). Jak wto bogaty, to mu dadzą malowaną trudnę na cárno, na siwo, abo na niebiesko, na uorzechowo, jak wto chce; na carno to dają biáłe kwiátki, takie rozycki wyrabiane. Wto bidny, to mu dają biáłą trudnę s prostego drzewa, nie dentá jes jino tak zbitá. Na niemalowany prosty trunnie to jes jacy cárny krzyz wymalówany. Za prostą trudnę płacą dwa ryjńskie, a za taką malówaną styry ryjńskie śrybła, nájwiency pięć, sześ ryńskich śrybła, Jak go uubierą, wiecor suatło sie suyci, pieśni rozne śpiwają, róznych ludzi sie naschodzi, kto chce, ji śpiwają pieśni nabozne. Tak kázdy wiecór do trzeciego dnia.

Śpiwają s ksiąski nájwiency:

> Jezu w uogrojcu mdlejoncy,
> Krwawy pot wylywajoncy, uo Jezus! itd.

abo:

> Duse w cyscu uupalenia
> Znosą za swe przewinienia, Maryja! itd.

Śpiwają tak do jedynáste, do dwunáste, a potem sie roschodzą, ci jidą spać, a suatło sie suyci bez całą noc.

Jak chto má dwie jizby, to sie przeniesie do jedne, a ten lezy w drugi jizbie.

Na trzeci dzień ludzie sie poschodzą wszyscy, śpiwają, ji mówi jeden egzortę, jeden jes uobrany, to przeprásá na tem pogrzebie [1]). To sie cytá s ksiąski przy drzwiak, jak sie má go ma wyprowádzać. Nájpirwy sie przezegná a potem sie mówi te egzorte:

«Rac przyjś Duchu suenty ji napełni serca wiernych, ktorzyście sie tu zgromadzili na wyprowadzenie ś, p. zmarłego (N.) z domu docesności do domu wiecności» itd. [2]).

Jak sie skóncy te egzorte, jak juz wszyscy sie pomodlą, to sie wynosi uumarteguo uo kázdy próg sie uuderzá trudnom dnem do trzecieguo razu ji mówi sie «wiecne uodpocywanie.» Na uostatniem progu sie go połozy, dopiro sie to mówi, (tom já z własne głowy uułozuł):

Nájprzód zegnáł sie Pán Jezus z Najświentsom Panną Maryją z Matką swojom, kiedy miáł uumrzyć, zegnáł sie ze swojemi uucniami, zegnáł sie ze swojemi apostołami, a więc sie ji ten świzy zmarły (jak kobita uumrze, to świzá zmarłá) zegná náprzód s tobom najuukochańsa zono ji z wami najuukochańse dzieci,—synowie ze synami, s córkami ji z wami kochani bracia i z wami kochane siostry..... Najuukochańsa zono! najuukochańse dzieci! kochani Bracia! kochane Siostry! ji wy wszyscy, ktorzyście sie tu ześli (abo zgromadzili) na te uostatnie wyprowadzenie dziekuje wám terás na tem uostatniem progu, a já sie bede przycyniać do Pana Jezusa za wami. Dziękuje wám moje, ze tak powiem moje progi, nie bedą tu chodzić wiency moje nogi. Dziekuje wam terás na tem uostatniem progu ji juz sie nie uuźrę z wámi, jaz na dolinie Jozefata przy uostatniem Sądzie Pańskiem. Amen. [3]).

Potem sie zabierą i jidą na smentárz do Noweguo Sonca, a przez dróge śpiwają pieśni nabozne. Trudnę wiezą na prostem wozie dwoma końmi,—jak umrze jakie dziecko, to wiezą jednem koniem. Nad grobem śpiwają tak:

> Juz jidę do grobu smutneguo ciemneguo,
> Tam bedę spocywać jaz do dnia sądnego itd.

S pogrzebu jidą do karcmy na drodze dzie abo w mieście, napiją sie, pojedzą, rozydą sie potem — ji kuoniec.

PRZY BIESIADZIE.

(Mes cheveux.)

> Przyjaciele moi! Wszakże znacie mię z tej strony,
> Ze swobody, wesołości jestem apostołem,
> Że tym bóstwom chciałbym zawsze me ofiary nieść;
> Toż dziś, skoro do kazania jam usposobiony,
> Pozwolicie je wygłosić za biesiadnym stołem,
> Spalić parę szczypt kadzidła na mych bogów cześć...
> Więc słuchajcie: hasłem życia walka być powinna,
> Ale walka nie ta, której celem złoto marne,
> Której godłem: coraz wyżej na drabiny szczyt,
> Choćby po współbraci czaszkach!.. Dla nas walka inna...

---

[1]) Gołębiowski twierdzi, że obyczaj ten, nam tylko właściwy, za granicą bowiem nie słychać o nim, z patryarchalnych jeszcze pochodzić musi wieków. P. Lud p. Warszawa 1830 str. 257 i 258.

[2]) Exorta ta jest drukowana u Fr. Foltyna w Wadowicach (Nr. 116. Exorta nad umarłym str. 8), dostać jej zaś można w każdym kramiku kramikowym na jarmarkach i odpustach. Składa się z dwóch części. W pierwszej exhortator po powitaniu obecnych prosi w imię przykazania miłości bliźniego, aby każdy, którego nieboszczyk za życia może nieumyślnie obraził, z serca mu odpuścił, dodając, że komu odpuścimy winy, to i nam Bóg nasze odpuści i da nam wieczne zbawienie, gdyż sami nie jesteśmy czyści i bez grzechu, a nie wiemy chwili, w której nas śmierć spotka. Kończy, prosząc obecnych o zmówienie „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya“. W drugiej części przechodzi życie nieboszczyka, żegna żonę, dzieci i wszystkich pozostałych krewnych i znajomych w jego imieniu, prosi, aby o nim pamiętali, za niego się modlili i wszelkie urazy mu przebaczyli. W końcu czule i serdecznie przemawia do synów i córek zmarłego, jeśli pozostali po nim:

Synowie i córki ostatni raz pójdźcie teraz do ojca waszego, przeproście go za wasze występki, któreście w życiu popełnili, gdyście nie posłuchali podług przykazania Boskiego. Lubo on nie jest obowiązany was przepraszać, ale wy jego macie prosić o błogosławieństwo ojcowskie, żebyście nie ściągnęli na siebie w życiu waszem kary Boskiej i żebyście byli pamiętni o duszy ojca waszego, lubo mówi pismo św., iże dusze w czyscu zostające takie głosy wydają: „Zmiłujcie się nademną przynajmniej wy przyjaciele moi.“

Pamietajcie na te słowa Pisma św. i módlcie się za duszę ojca waszego (matki waszej).

Ojcze nasz itd. Zdrowaś Marya itd.

[3]) Jest to najkrótsze streszczenie II. cz. exorty, pierwsze słowa czyli nawiązanie jest oryginalne.

Pokąd nas nie otaczają grobów cienie czarne, —
Żyjmy tak jak gdyby dla nas lśnił młodości świt!..
Z Molochem sobkostwa walczmy, z cielcem samolubstwa,
Walczmy o swobodę życia, nie o bogactw trzosy,
Śmiejmy się na całe gardło z zaślepienia, z głupstwa,
To jest mój programat, chociaż siwe mam już włosy!..

Przyjaciele moi! Życie nie jest jak jezioro,
Osłonione od burz wszelkich opiekuńczym gajem,
Który się odbija w tafli niezmąconych fal...
Życie nie jest też kwietnikiem, co jesienną porą,
Róż i lilii wonią tchnący, zdaje się być rajem,
W którym człowiek zapomina, że jest za nim dal...
Życie jest niestety, morzem, kędy ryczą burze,
Miotające wątłym statkiem o skaliste brzegi, —
A w tym statku — jakże trudno trzymać dobrze ster!..
Życie — jeźli jest ogrodem, to w nim kolą róże,
To w nim cierń tamuje ciągle człeka rącze biegi,
Do tych, które go wciąż wabią, podniośléjszych sfer...
Ale w tem jest sztuka życia, by ominąć skały,
By, pomimo kolców, umieć z róż pić wonne rosy,
Umieć spleść z ich drobnych liści wieniec szczęścia cały...
To jest mem zadaniem, chociaż siwe mam już włosy!..

Przyjaciele moi! Ależ — słusznie mię spytacie:
Jaka droga do tak trudnych celów tych prowadzi...
Jaką, oby w niej nie zbłądzić, ująć w rękę nić?..
Oto gardzić pałacami, być szczęśliwym w chacie,
Nie znać cacek, o blask których człek się z człekiem wadzi,
Z westchnień o fortuny uśmiech umieć szczerze drwić...
W takiej zbroi kto zasiądzie za biesiadnym stołem,
Temu smutek nieproszony nie zasępi lica,
Ten weselić się, pić, śpiewać, będzie z całych sił...
A gdy rzuci nań dziewczyna oczkiem swem wesołem,
O, nie znudzi mu się nigdy wabność jej kobiéca,
Choćby nie młodzieńcem, jeno starcem jak ja był...
I nie sprzykrzy mu się życie w takiej nawet doli,
W której skąpią swych uśmiechów niełaskawe losy,
Bo prześliznie po nim zwierzchu to co innych boli!...
Taką drogą ja wciąż idę, choć mam siwe włosy!.

Przyjaciele moi! A więc idźcie memi ślady,
Jeśli chcecie w smutne zwykle pasmo dni jesiennych,
Świetnych barwą, miłych wonią parę kwiatków wpleść...
Obcym dla was niechaj będzie duch zawiści blady,
Obcą dążność do tych wyżyn złudnych, a tak zmiennych,
Że nie warto kropli wina wylać na ich cześć!..
Śmiejcie się z całego serca nad gonitwą ludzi,
Za mamidłem, które błyszczy pozorami złota,
Lecz gdy zbliżyć się i dotknąć — pruchno jest i pleśń!..
Nie egoizm — tylko miłość niechaj w sercach budzi,
Niech otwiera dla współbraci szerszych światów wrota
Ta wesoła, co z ust waszych zabrzmi czasem pieśń!..
Wówczas życie będzie dla was wiecznie młodą wiosną, —
A gdy kiedyś wzrok nam zaćmi błysk śmiertelnej kosy, —
Nie cyprysem — jeno kwieciem groby wam porosną!..
Przepowiadam to wam śmiele — bo mam siwe włosy!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

Literacko-artystyczne mięszaniny z Czech.

Wielką zapewnie radość czuje ojciec rodziny obchodzący pięćdziesięcioletnią rocznicę swego życia, kiedy około niego zgromadzeni są wszyscy drodzy jego synowie i córki, wszyscy kochani przyjaciele. Czem jest jednak radość taka wobec radości męża obchodzącego pięćdziesięcioletnią rocznicę urodzin, której mu cały naród winszuje, męża, który po ciężkiej pracy, stał się ozdobą Parnassu swojego narodu; męża, który należy do najwięcej zajmujących objawów naszego życia literackiego; męża, który więcej niż trzydzieści lat pracuje z piórem w ręku na narodowem polu, a wypowiada słowa wolności, zgody, równości i braterstwa. A mężem takim, który dnia 9 lipca t. r. obchodził pięćdziesięcioletnią pamiątkę swoich urodzin jest *Jan Neruda.* Bogaty szereg prac jego należy do najprzedniejszych pereł literatury czeskiej i szereg ów niemal codzień się jeszcze mnoży. Neruda jest znakomitym poetą, feuilletonistą, krytykiem, nowellistą i podróżnikiem a w każdym z tych rodzajów literatury, można powiedzieć, że jest mistrzem!

Jan Neruda przyszedł na świat dnia 9 lipca 1834 r. w Pradze na Onjeździe, gdzie chodził do szkoły, w tych czasach jeszcze niemieckiej. Po ukończeniu jej wszedł do gimnazjum malostranskiego i później do staromiejskiego. Już jako gimnazista studjował obce literatury, w których tak znakomicie postępował, że w czasie ówczesnym mało kto mógł się z nim co do znajomości literatury świata mierzyć. Roku 1853 zdał Neruda wybornie egzamin maturitatis i zapisał się na fakultet prawniczy uniwersytetu pragskiego. Po dwóch semestrach wstąpił do wojenskiego komptoiru. Na nowo oddał się filozofii; w skutek tego stał się nauczycielem czeskiego i niemieckiego języka w niemieckiej szkole realnej w Pradze. Ale zamiarem jego nie było zostać profesorem, lecz poświęcać się zawodowi literackiemu; widzimy go więc od roku 1854 czynnego jako pisarza i od r. 1856 także dziennikarza. Roku 18 4 począł drukować swoje pierwsze wiersze pod pseudonymem «Janko Howora» w jedynem wówczas czasopiśmie belletrystycznem «Lumiru» redagowanem od r. 1851—1862 przez Brzet. Mikowca. Już w roczniku 1852 czytamy poemat Nerudy «Z casu za ziva pohrbenych.» Z powodu długiej choroby redaktora Mikowca począł «Lumir» upadać a młodzi współpracownicy jego poczęli rozbijać gdzieindziej swoje namioty literackie. Dla tej przyczyny nie mógł być «Lumir» ogniskiem działalności młodych pisarzy, którzy poczęli myśleć o nowem literackiem przedsięwzięciu. Wszystkie lepsze literackie siły, które wystąpiły w «Lumiru»; jako Barak, Bendl, Jonda, Fricz, Hálek. Neruda, Pflegr, Prokopec i niektórzy starzy, jako Erben lub Niemcová, połączyli się i poczęli pracować sami, mianowicie Neruda stał się pierwszym reprezentantem nowej doby, nowego kierunku i nowego ruchu w literaturze czeskiej. Pierwszym publicznym występem tej młodej drużyny był r. 1858 pod redakcyą Baráka wydany «almanăch *Máj.*» U wszystkich współpracowników było znać jakiś wpływ poezyi Byrona i innych sławnych poetów, z których na Nerudzie najwięcej Heine wycisnął swe piętno. «Majem» się ruch literacki bardzo odświeżył, a zachęcał wiele innych sił do działalności literackiej. Każdy nowy rocznik «Mája», którego redagował później Victor Halerz, wykazuje wielką liczbę nowych literatów, którzy następnie zjednali sobie, w literaturze naszej wielkie zasługi.

Jeżelibyśmy mieli przy wypisywaniu literackich zasług Jana Nerudy rozpocząć od tej, którą najwięcej szanujemy, czuli byśmy się zaambarasowani, bo są nam wszystkie równie drogie, miłe i szacowne.

Rozpoczynamy poezją..... *Hrbitovu kośti. Knihy veršu* (druga pomnożona ich edycya) *Kosmické pisne, Ballady a romance, Prosté motivy, Spevy pátecni* — są to tytuły zbiorów, które złotemi zgłoskami zapisały imię Nerudy między najlepszymi, najoryginalniejszymi i czysto czeskimi poetami. W poezji swej jest Neruda mianowicie znakomitym lirykiem a epikiem.

Neruda jest dalej i pisarzem dramatycznym. Jego komedye, napisane przed r. 1860 mianowicie *Prodaná láska* a *Ženich zhadu* zaliczamy jeszcze dziś do najlepszych tego rodzaju komedyj czeskich; utrzymują się też na repertuarze teatrów amatorskich. Tragedja jego *Francesca di Rimini* jest dowodem, że mógł Neruda na tem polu czasem się stać wielkim, ale niestety pisarz nasz na drodze dramatycznego tworzenia nie wytrwał. Zamiast tego, dostało się literaturze czeskiej w Nerudzie znakomity *feuilletonista* — twórca a niedościgły mistrz czeskiego feuilletonu.

Także wybornym redaktorem był i jest Neruda. Przed r. 1860 założył belletrystyczne pismo: «*Obrazy života*», później «*Rodinnou kroniku*». Roku 1866 na spół z Hálkem założył «Kvety», które w drugiej połowie rocznika były illustrowane. Roku 1872, kiedy Kvety z powodu konkurencyi nie mogły dalej wychodzić, założył nowe pismo *Lumír* wychodzące (teraz pod redakcyą J. V. Sládka) dotychczas. Założenie a pierwsze kierownictwo wymienionych czasopism, znamionowało zwrot do lepszego i prędki krok naprzód. Teraz redaguje Neruda «Poetické besedy», o których już w swoich mięszaninach pisałem.

Nerudy podróże zaliczamy do najlepszych jakie w tym rodzaju w literaturze mamy. Są pisane wiernie, z wielkim talentem obserwacyjnym, żywo, z humorem. Najpiękniejszymi są: «*Pariżske Obrázky*». *Ruzni lide*» «*Obrazy z ciziny*».

Z dzieł jego nowellistycznych wymieniamy piękne «*Arabesky*» i «*Malostranske povidky*».

Krytykiem jest tak znakomitym, że żałujemy mocno, iż od kilku lat z powodu cierpień cielesnych, krytyki zaprzestał. Wielkie zasługi ma Neruda także w naszem *národnêm divadle*. Jako krytyk i recenzent wychował dla niego pisarzy i artystów dramatycznych.

Dodając jeszcze, że redagował Neruda pamiętne wydawnictwo *Nárôd sobe*, wydane na korzyść Národniho divadla i że wydał jeden tom «*Divadelnich tácek*» memoirów i zapisek osób, które były w jakimkolwiek stosunku z teatrem czeskim, podaliśmy cały szkic bardzo bogatej działalności literackiej Nerudy. Wiele z pism jego zostało przełożonych na obce języki.

Pięćdziesięcioletni jubileusz urodzin tego pisarza obchodziła «Umelecka beseda» wspólnie z innemi narodowemi towarzystwami w sposób godny Nerudy. W przeddzień urodzin urządzono muzykę przed oknami jego mieszkania i korowód pochodniowy. W dzień urodzin deputacje wszystkich towarzystw przychodziły do Nerudy z gratulacjami i przynosiły mu różne podarunki, upominki i adresy. W kilka dni później urządzony był t. z. *Neruduv vecer* — wieczorek muzykalny i deklamacyjny. Oprócz tego otrzymał jubilat wiele telegramów gratulacyjnych ze wszystkich stron Czech i z za granicy. Była to uroczystość cicha, ale uprzejma, serdeczna.

Z całego serca życzymy Nerudzie, by w pełnem zdrowiu doczekał się jeszcze wielu *rocznic* podobnych.

Pierwszą nowością z dramatycznej literatury polskiej, wystawioną w teatrze czeskim narodowym w Pradze byli: *Pozytywni* (Prospechári) Narzymskiego w dobrym przekładzie Fr. L. Howorki. Sztuka podobała się nietylko szerszej publiczności, ale także krytyce. Przedstawioną była kilka razy. Dziennik «Narodni Polityka» rozpocznie niebawem druk przekładu powieści «*Na Manowcach*» Alberta Wilczyńskiego. «*Pojedynek szlachetnych*» wyjdzie w czeskiem tłomaczeniu Polabskiego, nakładem Vilimka w Pradze. Dramat *Dwie miłości* Kościelskiego wydany będzie w bibliotece «Ochotniczé divadlo». — Nowella Konopnickiej «Ultimus» została przełożoną na język czeski. W tych dniach bawił w Pradze prof. Bronisław Grabowski z Częstochowy.

W Sierpniu 1884 r.

Po . . . . ky.

JOWISZ I ELEKTRA.

przez Teodora Simons.

Na Olimpie zasiadł Jowisz, aby osądzić sprawę wielkiej wagi. Tron jego złocisty w około otoczyli bogowie, schylając głowy przed wzrokiem władcy, z którego tryskająca złość groziła zniszczeniem wszechświata. U stóp tronu taczała się Elektra, młodziuchna niedoświadczona bogini, zalewała się łzami, łkała spazmatycznie, prosząc o łaskę przebaczenia. Ośmieliła się ona w chwili gdy nikt na nią nie zważał, z błyskawicznej wiązki boga-grzmotu (piorunowładcy) iskierkę małą odłamać i tę sobie przyswoić, w kryształowej bowiem puszce z złotym korkiem skryła ją na sercu.

Straszny był gniew wielkiego boga, gdy ostrym tonem wyrok ogłosił:

— Za karę występku twego — mówił, prostując wspaniałą postawę — wyganiam cię ztąd na ową małą ziemię! — Odtąd musisz tam pracować w służbie ludzkości, pomagać jej skradzioną zdobyczą; zawsze burzyć, niszczyć a przecie dobre wytwarzać! Nie wrócisz do Olimpu, aż iskra, którąś mi zrabowała dłonią zbrodniczą, przyćmi słoneczne światło i noc w jasny dzień zamieni. Idź precz z oczu moich nieszczęsna i bądź przeklętą!

Po słowach tych wstrząsł się świat cały z głuchym jękiem.

Elektra wyszła z sali. Łzy strumieniem spływały po jej młodocianem obliczu. Przyciskając puszkę do drżącej piersi skierowała kroki ku wysokiej bramie Olimpu. Pożegnała się z przyjacielem swym Ganimedem, lecz nie na zawsze. Powrót był jej dozwolony, gdy wypełni zadanie.

Z zamkniętemi oczyma zsuwała się ku ziemi; szybko przebijała powietrze w groźnych liniach zygzakowatych, podobnych do lśnień błyskawicy. Słowa wszechwładcy jak huk gromu szumiały ciągle jej w uszach, trwożąc ją nieopisanie. Coraz silniej cisnęła kosztowną puszkę do piersi, gdyż w szalonym biegu była już tak blisko ziemi, iż najdokładniej słyszała ryk oceanu. Wkrótce po maszcie jakiegoś okrętu spuściła się w głębinę. Wir podrzucił ją i pochwycił silnie w swe zimne nurty. Wtedy od czasu do czasu z kryształowego pudełka wypuszczała małą iskierkę, aby przejrzeć i zbadać otoczenie, bowiem czem głębiej zapadała, tem czarniejsze wydawało sie jej państwo potężnego Neptuna.

Wilgotna droga prowadziła koło skał i rozpadlin podwodnych obok koralowego łoża. Przerażające jary i otchłanie ziały czarną przepaścią. Potwory, ryby, polipy pędziły za nią, aż musiała bronić się talizmanem. Zieleń, lilje wodne, muszle, muskały dłoń wygnanki szukającej wyjścia; znalazła je przy bladem świetle swej puszki, znalazła ścieżkę do nieskończonej głębiny, do dna morskiego, które przedstawiało się jej jak barwny kobierzec zasłany roślinami i żyjątkami małemi. Iskra jej wświdrowała się w sól skamieniałą, chlor i natron rozdzieliła, torując drogę swej pani w pokład kamienny, tworzący podstawę niezmiernego oceanu. Droga ta szła przez kredę, glinę i margiel, przez zastarzałe skały i pulchne massy, a gdzie iskra upadła, nikł opór bez śladu, ginęły twarde własności kamieni.

Elektra postępowała mimowoli za rządzącą nią siłą; nie wiedząc, nie przeczuwając co jest jej przeznaczeniem, gdyż zaraz mały demon, iskra w pudełku rozpoczęła robotę. Poddała się też jej i dozwoliła działać i tworzyć.

Kwaskowaty gaz w perlących banieczkach pryskająca iskra wydobyła z marmuru i z wapienia, zmięszała go z wodą zdrojową i ukazała na jaw. Inne źródła odkryła głęboko pod łupkiem kamiennym; niebiańskim swym żarem roztopiła sól, saletrę, siarkę, potaż, sodę, okrowe żelazo, zakwasiła temi techniczemi substancyami studnie i tryskające wody, dla dobra chorej ludzkości.

Wewnątrz ziemi, którędy Elektra przechodziła, powstała praca, szum i drżenie. Wszędzie przed nią otwierały się szpary, rozpadały góry i ukazywała się świecąca miedź, która drzemiąc dotąd w kamieniu obudzenie swe teraz obchodziła uroczyście, to znowu znachodził się pyrit, siarkowa miedź, malachit, skrystalizowane żelazo, ołów, blenda, płynne srebro przeciekające przez kamienie jak lśniąca amalgama.

Kwarc złoty i szlachetne gięte srebro, najważniejsze czynniki w gospodarstwie ziemi, iskra Elektry odkryła tu w znacznych pokładach, tam w delikatnych żyłach, poczem orzeźwiła gneis, łupek, spat stojące naprzeciw niej w omdleniu; przebiegła ogromne warstwy kamienne, owe przedpotopowe cmentarze olbrzymich palm i paproci, rozsadziła kopalnię górnika, która trzeszcząc i pękając antralit i dymiące węgle od otaczających kamieni odłączała. W ten sposób pomagała ludziom, zawsze niszcząc a dobre stwarzając jak było jej polecone.

Iskrą Elektry dotknięty, rozpraszał się twardy bazalt, skały się trzęsły i jęczała powłoka ziemi; jakby cudem otwierały się gigantyczne pory ziemskie zamknięte od stworzenia, i wyrzucały świecące gazy i olej ku wsparciu i pożytkowi obarczonej interesami ludzkości.

Bez wytchnienia i odpoczynku, pędzona klątwą Jowisza wciskała się Elektra z puszką swoją coraz dalej w głąb ziemi —

przy świetle błyskawicznej iskry ślizgała się po wewnętrznych ścianach krateru na dół, przepływała gorące lawy, metaliczne jeziora, płynne massy i wysyłała dymiącą parę, która groziła rozsadzeniem ziemi przez kominy i otwory wulkanów w górę do pracy.

Zadanie Elektry w wnętrzu ziemi w tej niegościnnej głębi zostało ukończone. Tajemna straszna siła jej puszki kryształowej pędziła ją na powierzchnię. W strefy północne gdzie wieczny lód pasem szklannym obwija globus ziemski, a w nocy zimowej szaleją żywioły, niszcząc się wzajem i odtwarzając na nowo, gdzie w wiekuistej walce woda i powietrze, światło i cienie pasują się o panowanie, wysoko na biegun polarny wstąpiła Elektra trzymając się osi. Czarna noc zimowa od miesiąca rozkładała się nad martwym lodem i bałwaniącą się wodą. W przerażającym tańcu, wiatr gonił chmury od zamarzniętej mgły dołem i górą jednę po drugiej; ogromne tumany śniegu biczowały lśniącą szybę lodu i pędziły trzeszczące skały lodowe na siebie; wyjąca burza zdawała się uzupełniać muzykę w smutnym koncercie..... Elektra drżała. Trzęsącemi rękami cisnęła silniej puszkę do piersi, gdyż iskra skakała i pukała w szklannej skrzyneczce, szukając otworu, aby uciec z zamknięcia. Wreszcie z pod złotego korka w silnych snopach wypłynął niebieski płomyczek, przestrzelił wachlarzowato lodem napojone powietrze, chrzęścił, trzeszczał i skwierczał jakby się cieszył z odzyskanej wolności.

Różnokolorowe światło mieniące się barwami tęczy rozjaśniło cienie północnego nieba, przełamało noc czarną; wspaniałe promienie w fantastycznych łukach wystrzelały do góry; iskra za iskrą, płomyk za płomykiem migotał w eterach oświecając zwierciadło lodu jakoteż pieniące się fale. Zdawało się, iż cała natura ustroiła się w ognistą szatę, której blask gasił księżyc i gwiazdy. W środkowym punkcie owej łuny w samej zorzy północnej stała Elektra, z nieba strącona bogini. Wyglądała jak gdyby z ciała jej płynęły złote promienie, ponieważ błyszczała jak perła roztopiona, by brylant palący na ciemnem tle czarnej mgły; głowa jej rzucała snopy ogniste we wszystkich kierunkach nieba, które tryskały błyskawicznie. Ona wzrok wzniosła do góry, ale Olimpu podwoje ciągle były zamknięte; nie otwarły się oczom jej, gdyż nie wypełniła jeszcze zadania swego.

Przykuta do miejsca stała tak miesiące całe, siejąc światło w zimę północy.

Wreszcie nadeszła wiosna. W lesie i na łące zaczęły kiełkować kwiaty, zwiastuny szczęścia i radości; gnieździły się ptaki a świerszcz i konik polny skakał w trawie.

Wtedy Elektra z puszką kryształową z powierzchni ziemi z północy zstąpiła w owe kraje, gdzie ludzie uniesieni żądzą zysku i pognębieni troską o chléb ujarzmili dziecię boże dotąd cieszące się wolnością i zmusili je służyć sobie.

Przepadły zatem marzenia! przepadła złota niezależność! W jarzmo wprządz się musiała bogini, musi pracować i tworzyć, skakać i biegać, poddać się wielkim i małym; za zapłatę dzienną wykonuje ciężką robotę, znosi kaprysy ludzi, którzy już odtąd rozrządzają jej siłą. Tygodniami całemi siedziała smutna w gabinecie filozofów, w skrzynce fizyków, w laboratoryum chemików, pomagała rozkładać ciała i materye; pożyczała iskry swej do poruszenia szczególnych maszyn i aparatów, robiła znaczne podróże, by czemprędzej znowu w jarzmo powrócić, wspierała lekarza przy leczeniu ludzi, objawiała godziny dnia, gubiła się w kręcących szybach i rurach, krótko mówiąc do każdej pracy, którą wiecznie spekulujący duch ludzki wymyślił, dodawała swą iskrę, swą siłę.

Długo, długo, biedna znużona życiem Elektra musiała woli, sile i studyom ludzkim ulegać, musiała przebywać w trujących kwasach między metalowemi płytami zamiast mierzyć skały, przestwory i wieże zbudowane z kruszcowych szyb. Wreszcie Jowisz zlitował się nad biedną, aby złagodzić jej los zrobił ją przewodniczką myśli. Nowe życie weszło jej w członki, gdyż znowu dozwolono jej aczkolwiek w zakreslonej granicy po metalowych drutach wszechświat przebiegać.

Drut ją niósł we wszystkich kierunkach do najdalej zamieszkałych stref. Przelatywała przy założonych kiersztakach rzeki, jeziora i morza, aby po dokonanem posłannictwie przez powłokę ziemi do miejsca wyjścia powrócić. Wtedy pukały młoteczki, powstawało wołanie, mówienie, wieczny odmęt myśli, który wynikł z zbliżenia najoddaleńszych narodów.

Tryumf Elektry był wielki. Wszystko jej hołdowało. Z uszanowaniem wymieniano imię bogini i sławiono jej bezinteresowną działalność; stała się władczynią świata. Gdy się w usłudze jej kruszce i siły ludzkie zużywały, jednak i tem robiła dobrze.

Sława jej rosła z każdą godziną. Tysiące ludzi zajmowało się tem tylko ciągle, aby jej iskrę popierać w działaniu. Budowano pałace ku jej czci. Jak siatka metalowa, rozpięte druty miedziane po całej ziemi oddano pod jej rozkazy. «Elektra» było hasłem narodów.

Lecz bogini zawsze jeszcze najwyższe zadanie miała przed sobą, którego rozwiązanie miało skrócić wędrówkę jej na ziemi i otworzyć jej bramy do boskiej siedziby, do Olimpu.

Jednego wieczora smutna siedziała na wybrzeżu wielkiego oceanu marząc o pięknych dniach ubiegłych. Pobyt na ziemi do której wyższą wolą była skrępowana wydawał się jej już za długi. Spienione bałwany przypływały i odpływały, kołysały się obry zgując stopy jej perlącą wilgotną wodą. Ocean rozciągał przed nią niezmierzone tonie, szumiał tajemniczo w swej głębi, gdy słońce w oddalonym zachodzie w fale zdawało się skłaniać do spoczynku. Elektra widząc rażącą gwiazdę myślała o swej boskiej posyłce. Chcąc ją jeszcze raz przed zachodem pozdrowić, wyjęła puszkę i ku wysmukłej latarni morskiej umieszczonej na zewnętrznej granicy portu skierowała swe kroki. Niewidzialnemi rękami niesiona, dotarła do szklannego kiosku wieży, gdzie za ochronnym kryształowym pryzmatem, co wieczór światło okręcało się w około osi, jako przewodnia gwiazda okrętów, dla przestrogi błądzących. Z wysokiej strażnicy na dół spoglądała Elektra marząca o czerwono-połyskującej kuli słonecznej, która w wilgotne łoże morza zdawała zapadać. Owładnęła nią gorąca tęsknota — ona biedna zmęczona bólem za ojczyzną kochaną, za domowem ogniskiem, jakże chętnie ułożyłaby się w grob na zawsze, gdyby tylko oswobodzająca śmierć była jej dozwoloną!

Coraz głębiej słońce skłaniało się ku zachodowi. Elektra przejęta tem widokiem stała w małym szklannym przybytku. Jeszcze ostatnie pozdrowienie ręką posle niknącej gwiazdzie. Wtem puszka wypada jej z dłoni i z brzękiem klejnot szacowny rozbija się na twardym bruku. Krzyk przerażenia wymknął się z ust niebogi, chciała rzucić się w morze — lecz dziwo! mała wiązanka iskier wyzwolona z ukrycia przez stłuczenie puszki poskoczyła do latarni w wieży, a promienie jej zabłysły jak drugie słońce, przyciągnięte końcami kruszcu i przytrzymane szkłem kierującem, w ciemnem jeziorze. — Coraz jaśniej, coraz więcej i wspanialej rozwijały się łuki świetlane, które kręglowy promień rzucał w najgłębszą i najdalszą toń morza. Noc dniem się stała, z wielkiej tajemnicy spadła zasłona: słońce dzienne poszło do spoczynku, ażeby zrobić miejsce rywalce.

Elektry zadanie zostało spełnione. Od owego wieczora znikła z ziemi, ale iskra jej pozostała, odnawiając się wiecznie w usłudze wdzięcznej ludzkości.

TU NIEMA AKADEMII.

(L'Académie et la Caveau).

Improwizacja podczas biesiady w winiarni zwanej „Caveau moderne", uczęszczanej przeważnie przez członków Akademji francuzkiej.

Mówiono mi o nowym tym zakładzie —
Bo czegóż dziś nie dotknie język zły? —
Że przeszkód moc tu stoi na zawadzie
Tym, którzy chcą zapukać do tych drzwi...
Że zasiąść tu śród biesiadników koła
I zyskać głos niekażdy łatwo zdoła...
Że jest to rzecz tak samo trudna prawie,
Jak gdyby kto na Akademji ławie
Chciał zasiąść, gdy zasługi jemu przeczy
Czterdzieści głów, co na jej ławach spi
Śmiertelnych snem, w swej nieśmiertelnej sławie...
I wiele w tym rodzaju innych rzeczy
Mówiono mi!..
Tymczasem cóż ja widzę, gdym w pokorze
Przestąpił próg świątyni nowej tej?..
Nakryty stół, gdzie mieszcząc się jak może
Biesiadny rój powiada: „Śmiéj się, śmiej!..
„Zasiadaj, jedz i strugi wina lej!..
„Dość spuszczać już poważnie wzrok ku ziemi:
„Tu piosnki brzmią — nie mowy Akademji..."
Zaiste-tak!.. Tu niema Akademji...

Mówiono mi, że aby dojść do słowa
W przybytku tym, by zabrać kiedyś głos, —
Krępuje tu przeróżnych form osnowa,
Od których nikt nie chybi ni na włos —
I każdy im w pokorze zadość czyni,
Zupełnie tak, jak w wielkiej Muz świątyni...
Więc trzeba wprzód zmieniając ciągle maski
To tu, to tam kołatać o te łaski,
Zjednywać je z pomocą tej odsieczy,
Co zwie się wpływ niewieści, — który drwi
Z uczonych głów, choć strojnych w sławy blaski...
I wiele w tym rodzaju innych rzeczy
Mówiono mi!...
Tymczasem ja, choć stoję tu raz pierwszy,
Zyskuję głos, biesiadny wiodę rej —
A grono to, słuchając moich wierszy,
Wykrzyka. „Tak! Wesołość tu nam siej,
„I śpiewaj nam i strugi wina lej!..
„Z powagą precz i z formy jej nudnemi!..
„Tu uczty stół — nie ławy Akademji!.."
Zaiste — tak!. Tu niema Akademji!..

Mówiono mi, że ten wybraniec bogów, —
Co wpływy dam na pogląd mądrych głów
Wyzyskał tak, iż stanął u tych progów —
Wstęp zrobić ma mniej więcej od tych słów,
(Co wieki już obyczaj utarł stary:)
„O, jakże wam, nauki ene filary,
„Wybrańcy Muz i nieśmiertelni męże
„Mam złożyć hołd? Czyż głos mój tak wytężę,
„By godzien był was, których wnet kaleczy
„To wszystko, co poziomą nutą brzmi!..
„Zaiste nie!.. Pokusę mą zwyciężę!.."
Et caetera .. bo wiele innych rzeczy
Mówiono mi!..
Tymczasem tu — tak żywa wre ochota,
Że czułbym fałsz w perory słowach czczej:
Więc spiewam wam co każe mi szczerota
I słyszę wtór wesołej piosnce mej:
„O, śpiewaj tak!.. i strugi wina lej!..
„Niech rymy twe brzmią sploty wciąż śmielszemi
„Tu szaleństw tron — nie nudów Akademji!..
Zaiste — tak!.. Tu niema Akademji!..

Mówiono mi, że w zamian za perorę,
Za wiązkę brzmień na Akademji cześć,
Wnet utną mi prezesa usta skore
Komplement, żem ja godny tutaj wleźć...
I zasiąść tu, na nowym tym Parnasie,
W tem krześle, zkąd w niedawnym jeszcze czasie
Brzmiał wielki głos nieśmiertelnego męża,
Co umarł... bo śmierć wszystkich wszak zwycięża!..
Lecz temu nikt zarówno nie zaprzeczy,
Że i mych dzieł rozgłośnie sława brzmi:
Więc murów tych ma osoba nie zwęża —
Cześć wnosi w nie!.. I wiele innych rzeczy
Mówiono mi!..
Tymczasem tu pan prezes nie poczyna
Od brzmiących słów na cześć wielkości mej,
Lecz wita mię serdecznie szklanką wina —
I mówi mi: „Wesołość tu sam siej!..
„Zaśpiewaj nam i strugi wina lej!..
„Nie chcemy cię unudzać mowy czczemi:
„Tu uczty stół — nie ławy Akademji!.."
Zaiste tak!.. Tu niema akademji!..

Mówiono mi, że godnie jest przyjętym
W przybytku tym, gdzie tylu siedzi was,
Ten tylko, kto jest szczelnie wciąż zapiętym
I twardym jest i zimnym gdyby głaz!..
Że wszystko to rozumem stanu zwiecie,
Co szczerość serc pancerzem chłodnym gniecie...
Mówiono mi, lecz temu dziś nie wierzę,
Bo widzę jak przyjęliście mię szczerze —
I moja pieśń oszczerstwom tym zaprzeczy, —
Że wasza pierś dla uczuć bratnich śpi,
Że zbudzić jej nie zdoła nic na świecie...
Lecz dosyć już!.. bo wieleż innych rzeczy
Mówiono mi!..
Wszak widzę dziś, że dowcip tu panuje
Miast suchych form, co maską treści złej...
Wszak ciepło serc i przyjaźń waszą czuję
I sercem mem gorąco wtórzę jej!..
Niech brzmi więc śpiew: „Lej, strugą wino lej!..
Podnieśmy nasz wesoło wzrok od ziemi!..
Kochajmy się, o męże Akademji!..
Kochajmy się!.. Tu niema Akademji!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

WYCIECZKA NIEDZIELNA.

SZKIC SARY HUTZLER

(z *niemieckiego*).

Wybiła czwarta. Z przebrzmieniem ostatniego tremolo (nasz stary zegar charczał bowiem żałośnie) para siwków, która od kilku lat była ozdobą naszej familijnej karety, wyjechała ze stajni na ulicę i przy głośnej komendzie «Whoa up» (Hu-a-ep) irlandzkiego furmana z należytą precyzją zatrzymała się u stopni naszego domu.

— Mika już jest — zagrzmiał Robert, brat młodszy, trzynastoletnim gardłem w górę kręconych schodów, a my, to jest: ojciec, matka, ja i dziecię na zwykłą niedzielną wycieczkę wybrani zeszliśmy z pierwszego piętra.

— Ostrożnie, żeby nie upadło — napominała matka z niższych stopni spoglądając ku mnie, gdy dziecię za rękę sprowadzić na dół zamierzałam. Ojciec zaś zsunąwszy na czoło okulary, ujął łapkę naszego dziecięcia i powiódł go, przy każdym daleko wymierzonym kroku małego chłopczyka wykrzykując radośnie, do stojącego przed domem powozu.

— Czy ma też ono kamasze? spytała matka przy wsiadaniu, dotykając batystowej sukienki dziecka. Był to pocisk wymierzony przeciw mej macierzyńskiej przezorności, lecz udałam, iż

nie słyszę pytania i z upornym rozmysłem zapinałam rękawiczki. Zajęliśmy wreszcie nasze miejsca w powozie. Ja z matką usiadłam w głębi, na przodzie umieścił się ojciec, Robert i Mika — woźnica.

Dziecię bujało niepewnie na kolanach ojca.

— Dlaczegoż mąż twój nie przyłączył się do nas? zagaiła matka, gdy w świetle zachodzącego słońca dojeżdżaliśmy do zwykle uczęszczanego ogrodu za miastem.

— Bardzo mu było przykro — z pomieszaniem zaczęłam wygłaszać polecone mi przez Harrego, a powtarzające się co tydzień uniewinnienie,—bardzo przykro, ale właśnie przyszedł przyjaciel i zabrał go do siebie.

Matka skinęła głową i zamilkła. Milczenie takie częstokroć bywa nader znaczące. Strasznie też rozgniewałam się na mego upartego małżonka, który mając niczem nieupozorowany wstręt do publicznych ogrodów, wzbraniał się stale towarzyszyć nam w ulubionych rodzicom wycieczkach niedzielnych. Chciałam już dodać jaką nową wymówkę, gdy jednak matka pochyliła się, żeby poprawić szarfę dziecięciu, mogłam milczeć.

Szarfa trzymała się doskonale. Dla przekonania lepszego wszelako matka posunęła jeszcze ręką po różowych policzkach dziecięcia i dopiero z zadowoleniem sparła się na poduszki.

-- Jakże ślicznie wygląda teraz aniołek!

«Aniołek» tymczasem podług mego mniemania coraz niebezpieczniej bujał na kolanach dziadka, których używał zamiast konia ku radosnemu zdziwieniu ich właściciela.

— Patrz tylko na malca! chełpił się ojciec, biorąc lejce z rąk zgadzającego się na wszystko furmana i wkładając je w maleńkie dłonie dwuletniego dziecka — patrz tylko na malca!

— Na miłość Boską! żeby nie upadł! — zawołała matka z promiennemi oczyma, a Robert młodszy brat sam nader rozpieszczony, przypatrujący się dotąd ogólnemu zachwytowi w milczeniu, mrugając tylko od czasu do czasu ku mnie, nie mógł dłużej się pohamować, wyjął scyzoryk z kieszeni i podał go «aniołkowi».

Wykrzyknik mój przeszkodził doręczeniu.

— Jak możesz dawać nóż takiemu dziecku?

— Wielka historja — zamruczał mój miły braciszek połyskując złowrogo oczyma i rękę z nożem włożył w kieszeń z wyzywającą miną.

— On chciał zrobić najlepiej — zauważyła matka nieco uszczypliwie, bowiem nie mogła znieść, gdy zganiono Roberta.

Ojciec nie widział nic zgoła oprócz małego «boba».

— No powiedz: Mika! szeptał różowemu chłopczynie, a ten natychmiast przywrócił dawną swobodę, gdy jak mógł najgłośniej krzywiąc nader komicznie twarzyczkę z całego gardła «fik! fik!» zawołał.

Zbliżyliśmy się wreszcie do miejsca przeznaczenia. Powóz koło powozu stał już przy ogrodzie, w którym małe ponętne altanki zdawały się zapraszać do siebie. Wesołe dziecięce głosy dolatywały ku nam, gdy z wielkim trudem usiłowaliśmy się pomiędzy karety przecisnąć.

«Trzymaj dobrze dziecko!» — napominała matka

«Ostrożnie — kamień» — wołał ojciec.

Po kilku naradach wybraliśmy altankę. Ojciec siadając otarł sobie pot z czoła, podczas gdy matka z zwykłą ostrożnością na ławie pled rozpostarła.

— Teraz moje złotko możesz wyleść.

— Zawołaj: piwa! — zachęcał ojciec przyciskając twarz do buzi dziecięcej — powiedz: piwa!

— wa, wa — próbował posłuszny malec poważnie, a ojciec śmiał się do rozpuku, uderzając o stół obydwoma rękami.

— Wyborny malec! wspaniały łobuz! — wołał nie mogąc powstrzymać uciechy. W końcu nie zdolny już dłużej przymiotów niezwykłych wnuka ukrywać, ujął go za rączkę i opuścił altanę.

— Tylko nie chodź na słońce! napominała matka, spoglądając za nimi co i ja uczyniłam, zwłaszcza, iż drepczący przy dziadku malec wyglądał bardzo zabawnie.

— Jak on biegnie! — wołał ojciec ku nam, a jednocześnie patrzał wyzywająco w około i — w istocie — w pobliskiej altanie odkrył znajomego, któremu chłopca mógł przedstawić: Patrz no Degendorf! dzień dobry przyjacielu! Mój wnuczek! Nieprawdaż tęgi chłopiec, co? Podajże rączkę rybko! — A co on ma za włosy! hę? No — nie ciągże tak! Idź prosto malcze — hm — do widzenia! do widzenia! Wisus nie chce ustać spokojnie — szalony łobuzie czegoż więc żądasz?

Ojciec poszedł za kroczącym przodem figlarzem z ostentacyjnym przymusem.

Wszystko najdokładniej widzieliśmy z altany. Matka przyrządzała kawę z żywością, która jasno wykazywała, iż coś ją alterowało. Zobaczyliśmy wreszcie jak ojciec z gracją rzadko praktykowaną zdjął kapelusz — w czasie tego matka postąpiła na sam próg altany,—i dziecię nasze podprowadził do nadchodzącej grupy.

Wysmukła, jasnowłosa dama klęczała prawie na piasku, zdając się namawiać bojaźliwe swe dziecię do zbliżenia się ku chłopcu naszemu.

— Ojciec niepotrzebnie zaznajamia się z każdym! zauważała matka, którą zamiłowanie ojcowskie w pięknych kobietach niezbyt cieszyło, a ja, pociągnięta uroczym widokiem dwojga śnieżno ubranych dzieci wyszłam naprzeciw. Robert usiłował patrzeć ze wzgardą.

— Sądzę, iż miałem już kiedyś przyjemność widzieć panią, nawiązał ojciec zręcznie nową znajomość.

— Zdaje mi się, że sąsiadujemy ze sobą — odparła grzecznie nieznajoma.

— Nie znam jej wcale, jakieś urojone sąsiedztwa! rozstrzygnęła matka.

Ojciec pochylił się do bojaźliwej dzieciny.

— Urocze dziecię! — pochlebiał mimochodem, a stojący w milczeniu małżonek zrewanżował się, głaszcząc uprzejmie mego chłopca po włosach.

— Prześliczna czerwoność — zauważał pobłażliwie, ale później się zmieni.

Matka natychmiast znalazła się przy nas.

— Czerwoność? rzekła wzruszonym wysokim głosem z udanym uśmiechem, przecież włosów tych nie można nazwać czerwonemi?

— Ależ mężu cóż mówisz? poprawiła młoda kobieta — nie uważałeś chyba, że dziecię ma blond włosy — złoto blond!

— Naturalnie złoto-blond — rozśmiał się ojciec — poczem żeby odwrócić rozmowę zaproponował dzieci zostawić same.

— Ona jest tak bojaźliwą — moja maleńka! rzekła pani.

— Chłopiec nasz ją ośmieli — pocieszał ojciec.

— Podaj jej rączkę — szeptał swym czułym namawiającym tonem do chłopca. Daj ślicznej małej dziewczynce rączkę.

Z zastraszająco posłuszną akuratnością poskoczył nasz następca ku malusieńkiej dziewczynce.

— Whoa-up! (Hua-ep) wykrzyknął Robert, gdy dzieci zamierzały puścić się w drogę. Dlaczego posłużył się wykrzyknikiem używanym do koni nie wiedziałam — ale spojrzałam nań zabójczo.

— Patrz tylko na chłopca! zabrzmiał głos ojca na nowo, a matka odwróciła się od przytulonej do siebie miłośnie pary, wołając nas na kawę.

— Słodkie stworzenie! podziwiał ojciec, spoglądając raz na nasz dziecię, raz znowu na zarumienioną sąsiadkę.

— Będziesz pić, czy nie? spytała matka trochę ostro, poczem weszliśmy do altany. W pobliżu umiesciło się młode małżeństwo.

Na wysypanej żwirem szerokiej ścieżce ręka w rękę tuż przy nas przechadzały się dzieci. Nasz chłopczyk obydwoma rączkami ujmował dłoń małej laleczki. Toczył się po ścieżce i obracał z bojaźliwą towarzyszką ciągle w tem samem miejscu, cały zapas swej erudycyi wspaniałomyślnie przed nią roztaczając.

— Fik-fik-fik tu-hej-hej o! tata-dia-dia, deklamował.

— Niezrownany chłopiec! – zawołał ojciec, a Robert wybuchnął głośnym śmiechem, widząc chwiejne poruszenia małej parki.

— Założyłbym się, że upadną — przepowiadał z oburzającą pewnością, aż ojciec rzucił nań z poza okularow karcące spojrzenie.

— Czy chcesz jeszcze filiżankę? — spytała matka, żeby odwrócić uwagę od syna; przyczem spojrzała na zwirówkę, gdzie właśnie nasz malec z zdumiewającą zręcznością swą małą znajomą wraz z rożową tiulową czapeczką ściskał w objęciu.

— Coż na to powiecie?—cicho nie przeszkadzajcie, dziwiła się i rozkazywała zarazem — a my istotnie rozbawieni widowiskiem cichutko siedzieliśmy przed filiżankami.

— Całuje ją filut! cieszył się ojciec przytłumionym z wzruszenia głosem.

W samej rzeczy malec szeroko otworzone usteczka z przymileniem do owalnej białej twarzyczki dziewczynki przycisnął, co w sąsiedniej altanie jak i u nas zachęcające okrzyki wywołało.

— Daj im spokoj! rzekła matka—gdy ojciec z uprzejmością niezwykłą ku altanie przyległej spoglądał — daj im spokój i wypij jeszcze trzecią filiżankę.

— Zabawny dzieciak! wdzięczył się ojciec podając filiżankę. Ostatnia kropla z dużego imbryka wysączyła się powoli do filiżanki. Robert ostatni kawał placka do ust gwałtownie wpakował, gdy raptem dziecięcy krzyk poderwał nas na nogi.

— Na miłość boską! dziecię! zawołaliśmy!

Szczęściem Robert był jak zwykle spokojnym i zręcznością swoją uratował stoł od przewrócenia. Wszyscy wybiegliśmy od razu, nie można zdefiniować przeto z której altany goście stanęli pierwej na arenie nieszczęścia, gdzie obok leżącej w piasku jasnowłosej dziewczynki, klęczała bez względu na świeżo upraną suknię młoda pani blada z wzruszenia, trwogi, lecz zawsze piękna.

— Krew! o Boże! krew wołała, przyciskając płaczące bobo do siebie.

— Krew? spytaliśmy przerażeni — krew?

— To ukąszenie! wykrzyknęła młoda matka.

— Wody — wody — szybko wody! zakomenderował ojciec stojący obok.

Na widok zróżowiałego policzka dziewczynki dziwne przeczucie ścisnęło mnie za serce. Wśród zamętu i narzekań bystrem okiem rozpoznałam od razu odcisk dwóch ząbków na białem ciałku obcego dziecka. Spojrzałam na chłopca naszego. Ze spokojem iście olimpijskim stał na żwirze niedomyślając się nawet powodu zamieszania.

— Boli? zapytał uprzejmie, szeroko otwierając dziecięce swe oczy. Ale na dźwięk jego głosu wszystkie spojrzenia zwróciły się na jego małą osóbkę z niszczącą mocą.

— Oh! — szkaradny chłopiec! zawołała najpierw młoda dama ze wstrętem, zanurzywszy batystową chusteczkę w wodzie, którą jej ojciec podawał i przykładając ją z łzami w oczach do rany dziecięcia.

— Szkaradny! powtórzył ojciec. — Czysty łobuz! zagrzmiał podniecony boleścią pięknej kobiety, wszelkie familijne względy na bok odsuwając. Czyż jesteś zwierzęciem, żebyś kąsał?

— Dziecięciu pozostanie blizna — narzekała matka młoda, a małżonek jej groźne spojrzenie rzucił naszemu chłopcu, mrucząc złośliwie: «Nie dowierzałem nigdy czerwonowłosym».

— Ludzie z czerwonemi włosami zwykle są złośliwi, jęczała znowu piękna dama, jeżeli nasza pieszczotka na wieki naznaczoną zostanie — oh! — oh!

— Weźcie mi chłopca z oczu! — zakrzyczał nagle ojciec, ostatniem przypuszczeniem przywiedziony do ostateczności.

— Brzydko tak kąsać — zawtórowała matka.

Podczas tej sceny Robert tylko zachował się jak człowiek. Wprawdzie nie uczynił nic łagodzącego, ale gdy na ojcowski rozkaz zdziwionego jedynaka na rękach zaniosłam do altany, zaryczał słowami, które brzmiały jakby mówił: «Wiele hałasu o nic!.»

Trzymałam dziecko na kolanach — moje biedne złajane dziecię, — przejęta najwyższem oburzeniem na swoich. Bo jakże można było chłopca mego nazwać złośliwym? Jak można było czerwone jego włosy, które zwykle w przesadnym zachwycie «złotoblond» nazywano — poczytywać mu za zbrodnię? Cóż winien, iż miał włosy czerwone? Było to nieprzyjemnem, bardzo nieprzyjemnem, że kąsał, ale nie uczynił tego ze złośliwości — nie — moje dziecię nie było złem. A oni wiedzieli to doskonale. On chciał dziewczynkę uściskać i zanadto silnie usta przyłożył. Żal mi było obcego dziecka, ale żeby wszyscy przeciw memu chłopcu tak powstali, żądając żebym w ich oczach ku zadowoleniu innych go ukarała, tego było za wiele! W każdym razie było to jeszcze dziecko i...

— Coby też można dla uspokojenia ich uczynić? usłyszałam jak ojciec szeptem zapytywał matkę, która miała czasami praktyczne zapatrywania nieco dosadne, rzekła więc z poruszeniem ramion: «Oświadcz się, że zapłacisz lekarza.»

— Ależ żono, jak możesz myśleć? oburzył się ojciec i poszedł z galanterją ku pięknej pani.

— Czy mu lepiej? zapytał.

— Dziękuję — odparła zimno, lecz spokojnie stroskana matka. Jedziemy do domu, żeby zawezwać lekarza.

— Powiedz, że zapłacisz — radziła matka, ale ojciec pozostał przy swojem. Trzymając dziecię z swobodną naiwnością bawiące się łyżeczkami na kolanach, zasunięta w głąb altany przypatrywałam się z oburzeniem jak ojciec troskliwie obsługiwał obcych przy powozie i jak wyszukiwał słów, żeby wyrazić im swoje ubolewanie nad dzieciną, ktora mówiąc nawiasem uspokoiła się zupełnie i nie usprawiedliwiała przypuszczenia zachowania «blizny.» Nieznajomi jeszcze raz wzrok nienawistny rzucili synkowi memu i odjechali.

— Trzeba nam także jechać — rzekł ojciec wchodząc do altany.

Matka w milczeniu złożyła pled, a Robert końcem buta wyrzucił piasek w powietrze.

— Kelner! — zawołał ojciec zbytecznie głośno, gdyż żaden nie był głuchy. Rachunek wkrótce wyrównano, i wsiedliśmy.

Dziecię tym razem pozostało przy mnie w głębi powozu. Fik, fik! zawołał jak zwykle na powitanie Mice, a matka z tkliwością właściwą babuniom zapomiała uraz i wzięła go za rączkę.

W milczeniu przebyliśmy ciemne ulice miasta, a ojciec zwracając się do mnie zapytał nieco sztywnie: Chcesz jechać prosto do domu czyli do nas?

— Do domu proszę — odparłam ile możności grzecznie.

Za chwilę Mika zawołał: «whoa-up» siwki się zatrzymały i wysiadłam. Matka podała mi dziecię — zbliżał się moment zemsty mojej.

— Powiedz babci dobranoc! — rzekłam do dziecka, podnosząc mu rączkę. Powiedz także wujciowi dobranoc!—Byłam tak dziecinną, iż pominięcie ojca sprawiło mi przyjemność i zupełną satysfakcyą.

— Dziękuję — dobranoc — wymówiłam i w rozdrażnieniu poszłam do domu. Siwki popędziły dalej.

Przecie gdy echo kół rozbijających się po bruku przebrzmiało — uczułam dziwną tęsknotę. Harry nie powrócił dotąd. Powoli zaczęłam rozwiązywać szarfy dziecku i do snu je układać; podczas tego rozmyślałam o wydarzeniach dnia całego, utwierdzając się w oburzeniu coraz głębiej w miarę zaczynającego mnie dręczyć sumienia.

Dlaczegóż ojciec przybrał ton tak niezwykły? Jak mógł myśleć, iż chłopczyk nasz kąsa umyślnie? Czyż to przyzwoicie swą własną krew przed obcymi spotwarzać li tylko dlatego, iż nieznajoma była piękna i młoda. Dziecię miało włosy czerwone — lecz miękkie, jedwabniste prawie i ojciec powtarzał tysiąc razy, że włosy te pochodzą z jego rodziny, a dziś pozwolił je zbezcześcić, jakby go to nic nie obchodziło. Zatem jeźli na dziecku nic mu nie zależy, nie można z niem się narzucać! Zrobiło się sprawiedliwie i taktownie, iż mu się nie powiedziało: «dobranoc» — bowiem któż wie czyby wyciągniętej rączki nie odtrącił — ale cicho! — Ktoś idzie — otworzono drzwi. Kto to być może? Pewnie Harry.—Jak to dobrze, że przyszedł, nim dziecię usnęło.

— Słuchaj malcze, słuchaj. Kto idzie?

— Dia-dia! — szeptał chłopczyk, a mnie znowu ścisnęło za serce.

«Nasze dziecię» z zabawnie oczekującym gestem przyłożyło paluszek do noska, ukazując różowo białe pulchne ramię. Kroki zbliżały się coraz więcej, ciężkie, powolne, Czyjże to chód? Nie ruszyłam się z miejsca, gdy drzwi się otwarły.

Na progu stał ojciec. Stara twarz jego wyrażała złość i wzruszenie. Patrzał w milczeniu przez kilka sekund na tłuściutkie, obnażone ramiona dziecka, poczem nagle ujrzałam w rysach jego dawną zachwycającą tkliwość.

— Chodź tu chłopcze! — zawołał otwierając ramiona. Dziadzio nie mógł usnąć bez twego pocałunku. Chodź tu chłopcze!

Puściłam dziecię z objęcia.

— Dia-dia — wykrzyknęło radośnie dziecię, dążąc niepewnym krokiem na pół śpiące ku ojcu.

Stałam w głębi pokoju i szybko otarłam nerwowe łzy z oczu. Ciężar spadł mi z serca, gdy ojciec dziecię uściskał pieszczotliwie.

— Mój aniołku — złotko moje! szeptał nad niem pochylony. O! mój aniołku!

Lampa oświecała jasno cały pokój. W dużym fotelu siedział ojciec i trzymał dziecię na rękach. Czerwonowłosa główka uśpiona spoczywała na jego piersi. W pokoju było cicho.

Czy to złudzenie lub czy w istocie zamknęły się także stare oczy w fotelu?

Przybliżyłam się cichutko i z skruchą przycisnęłam usta do ojcowskiej ręki.

— Zabawny chłopiec! szeptał we śnie, sławny malec! mój wnuk! — dzielny wisus, co?

O NIEDOBRA WIOSNO!

(Le maudit printemps).

Widziałem ja to okienko
W ciągu zimy całej...
Tum ją witał mą piosenką,
Ztamtąd rączką swą maleńką,
Słał mi pacałunki słodkie
Mój cherubin biały...
Ciągle, ciągle na pieszczotkę
Oczy moje spoglądały,
Bo każda tych drzew gałązka
W przeźroczystej stała bieli,
A ulica taka wązka
Nas od siebie dzieli...
Lecz minęła nasza zima,
Zima słodka i miłosna!..
Białych puchów śniegu niéma...
Już się wody wszędzie pienią,
Drzewa stroją się zielenią...
Zbliża się już, zbliża wiosna,
O niedobra wiosna!..

Nie ja jeden ukochałem
Cudne dziewczę moje, —
Bo przy jej okienku małem
Codzień rano spostrzegałem
Całe stada mych rywali —
Szarych ptasząt roje...
I dotąd zuchwalcy mali
Swiegotali skargi swoje,
Dotąd brzmiała pieśń ich gwarna,
Pokąd jej rączęta
Nie sypnęły garstki ziarna...
Wówczas, w oknie swem przygięta,
Uśmiech mi swój posyłała
Tak promienna, tak radośna,
Takiem szczęściem tchnąca cała!.!
Pocóż drzewa swą zielenią
Wkrótce widok ten zacienią?
Pocóż się już zbliża wiosna?..
O, niedobra wiosna!

O, niedobra wiosno boża!..
Nie chcesz, bym co ranka
Widział dziewczę kiedy z łoża
Wstaje, jak rumianna zorza,
Jak poranna gwiazdka, Feba
Siostra czy kochanka...
Albo, gdy osłoni nieba
Nocna skrzystych gwiazd firanka,
Nie chcesz, bym z bijącem sercem
Białe ujrzał łono,
Lub zapragnął być kobiercem
Pod jej nóżką obnażoną,
Zanim skryje ją pościołka...
Nie chcesz tego, boś zazdrosną,
Bo chcesz mię umartwić, śmiałka...
Powiew twój już mi szepleni:
„Wszystko, wszystko to się zmieni!.“
Po co więc się zbliżasz wiosno?..
O, niedobra wiosno!..

A więc gośćcie mi najdłużej
Dnie poczciwej zimy!..
Ich surowość mię nie znuży...
Gotówem zamieci, burzy
Nucić piosnki przy mej lutni,
Składać chwalne rymy,
Bo ileż roskoszy, smutni,
Razem z wiosną utracimy!..
Co mi tam, że hojną ręką
Sypie pełne woni

Kwiaty — kiedy to okienko
Zieleń wiosny mi zasłoni!
Co mi tam słowików pienie —
Niech na wieki zmilkną, posną!..
Nie chcę tych roskosznych cieni,
Co swą zielonością ciemną
Skryją postać jej przedemną...
Poco więc się zbliżasz wiosno?..
O, niedobra wiosno!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

PRZEGLĄD LITERACKI.

Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami. I. Antoniego Malczewskiego M a r y a. Wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak c. k. Professor gimnazyalny w Stanisławowie i członek komisyi językowej Akad. Umiej. w Krakowie. Tekst przejrzany, krytycznie porównany i według potrzeby poprawiony. Lwów. Nakładem wydawcy. 1884.

Tak opiewa w całości ten wielki tytuł, niewielkiej (135 str.) zresztą książeczki. Zastanawiając się nad nim wywnioskowaliśmy, że p. P. Parylak, c. k. profesor, przy tekscie „Maryi" przejrzanym, krytycznie porównanym i poprawionym (dlaczego dodatek „według potrzeby?") umieścił swój wstęp, żywot poety i objaśnienia.

Nie wchodząc bliżej w kwestją, czy specjalnie „Marya" potrzebuje takiego ciężkiego aparatu krytycznego i egzegetycznego do zrozumienia, skoro ją dotąd trzy pokolenia czytały bez objaśnień, i czytały z p o j ę c i e m rzeczy i z a j ę c i e m, nie zajmując się (powtarzamy) tem pytaniem, zwróciliśmy się najprzód do tekstu, chcąc zobaczyć poprawki i ich kryterja.

Pierwsze „słowo do czytelników" oznajmiające, że „wydanie niniejsze Maryi" podjęte *na wzór* wydań niemieckich arcydzieł piśmiennictwa wywołało w nas wysokie o rzeczy wyobrażenie. Jeżeli wydawca na takie zapatrywał się wzory, podał przeto niezawodnie iako klucz do krytyki tekstu, klasyfikacją wydań „Maryi" i wybór ich użyty. Darmośmy atoli przeczytali całe „słowo", szukali we „wstępie"—nie znalezliśmy nic, tylko lakoniczną wzmiankę, że wydawca korzystał „z 5 rozmaitych wydań „Maryi". Nie poszedł tedy za wzorami, ale może przy samych poprawkach umieścił źródła. Szukajmy. Przechodzimy kartę za kartą, porównując tekst tego wydania, z wydaniem Bielowskiego; dochodzimy do karty dziesiątej, dwunastej, trzynastej, niema zmian i poprawek, chyba w interpunkcyi a i te wątpliwej wartości. Nareszcie na str. 54 w ustępie X. wiersz 3 wyczytaliśmy:

„Ni *jej* ubiór udatny, ni *jej* stroją szaty"

w przeciwieństwie do wszystkich dotychczasowych wydań, które podawały w pierwszym i drugim razie *„ją"*. Za odnośnikiem idąc w ślady znaleźliśmy co następuje: „Wiersz ten w niektórych (?) wydaniach brzmi: „Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty". Ośmieliłem się sprostować ten wiersz ze względu na myśl zaprzeczoną w ten sposób: ni jej ubiór udatny (nie stroi), ni jej (nie) stroją kwiaty; albo: ni jej ubiór (nie jest) udatny, ni jej (nie) stroją kwiaty". Cóż Szanowny Czytelniku powiesz na to z nami? Czy Cię kiedykolwiek, kiedyś czytał „Maryą", uderzył w tem wierszu tok nie polski? Pewnie nie; boś nieświadomie, bez teoretycznej znajomomości gramatyki języka polskiego odgadywał, że spójnik *ni-ni*, *ani-ani* w zdaniu złącznem niema wpływu na czasownik tak, jak partykuła „nie" a więc, że i rząd czasownika „stroić" nie zmieni się przez to. Prof. Parylak, członek komisji językowej Akad. Umiej. uległ tu złudzeniu; nadto by nie wystąpić przeciwko wszystkim wydaniom, podał fałszywie w odnośniku, że *niektóre* tylko mają brzmienie tego wiersza powszechne i dobre. Poprawił tedy z dobrego na złe; czy tego wymagała potrzeba? czy z podobną samowolą zgadzają się prawidła krytyki tekstu? Jeżeli jego *pietas erga auctorem* dopuszczała w ogóle poprawek w tekscie na własną rękę, bez względu na właściwości tekstu przez samego autora przekazanego w wydaniu I. warszawskiem, to czemuż nie usunął podobnych „niegramatyczności" jak w pieśni I. ust. XVII.: To, *co* nikt *nie* wyraził"... w pieśni II. ust. VII. „trosków" „kędy *ich...* Wacław *kręci*"; i wiele innych a tylko w pieśni II. ust. XX. jedno „łzów" doznało zmiany na „łez". Ale szukajmy dalej poprawek tekstu. Przechodzimy pieśń I. początek II. połowę, kończymy poemat, i więcej poprawek nie znajdujemy. Czy prof. Parylak miał świadomość tego, co poprawił w tekscie, kiedy pisał na karcie tytułowej, że „tekst przejrzany, krytycznie porównany i według potrzeby poprawiony" w wydaniu niniejszem podaje? Czy w powyżej przytoczonej niefortunnej poprawce było *potrzeba* zmiany i czy ona polega na *krytycznem* porównaniu?

Przejdźmy do objaśnień.

We wstępie znajdujemy ośm rozdziałów: I. obejmuje rzecz o „historycznej podstawie poematu" (str. 1—16); II. Treść poematu (str. 16—17); III. Zmiany w poemacie (str. 18—19); IV. Nieco (!) o życiu i pismach poety (str. 19—20); V. Pomysł do utworu (str. 20 i 21); VI. Śród jakich warunków powstał poemat i jak został przyjęty? Tłomaczenia na obce języki (str. 21—23); VII. Rodzaj poezyi (str. 23—24); VIII. Budowa poematu (str. 24 i 25). Rozdział pierwszy największy, jest niczem innem jak tylko nie zbyt zgrabnem streszczeniem „Starościny Bełzkiej" J. I. Kraszewskiego, jako historycznego opowiadania „strasznej i pełnej grozy historyi domowej dwu rodzin polskich" na której tle „Antoni Malczewski wysnuł *prześliczny poemat* p. n. „Marya" wydany w r. 1825" (str. 1) i „która powtarzana tysiącem ust z pokolenia w pokolenie, stała się poetyczną legendą i wykwitła *cudnym utworem* Malczewskiego, na nieznanym Komorowskiej grobowcu". Treść poematu opowiada dalej wydawca krótko, wplątając niepotrzebnie nieumieszczony w poemacie szczegół, że „wojewoda starał się o rozwód w Rzymie"; „zmiany w poemacie" dotyczą wyświecenia różnicy treści poematu a zdarzenia historycznego. W rozdziale IV. mówi wydawca „nieco o życiu i pismach poety", niezgodnie z tytułem, podług którego *żywot* poety miał obejmować część osobną; w nim prócz znanych ogólników czytamy tylko, że Malczewski „wszedł *mimowolnie (!)* w związki małżeńskie„ i że „najważniejszym i największym jego utworem, trwałym jego sławy pomnikiem jest „Marya", powieść ukraska, wydana w r. 1825". Ustęp V. nie zawiera nic innego, tylko że Malczewski słyszał opowiadanie o tem zdarzeniu jeszcze w dzieciństwie, „pochwycił wątek i z niego wysnuł swoją powieść poetyczną, największy utwór, wydany w roku 1825". (Dowiadujemy się o tem po raz *trzeci!*). Na pytanie, śród jakich warunków powstał poemat, i jak został przyjęty? odpowiada wydawca kilku zdarzeniami, które tylko są rozwałkowaniem odnośnych ustępów z życiorysu, a mianowicie, że Malczewski nie umiejąc gospodarzyć osiadł w Warszawie i w nędzy pisał „Maryą". „Nic dziwnego — mówi wydawca, że duch Bajroniczny stanął wówczas za nim i rzucił cień swoich skrzydeł na cały ten poemat ukraiński" !! Autor umarł zgryziony złem przyjęciem utworu. Kończy ten ustęp notatka, że liczba wydań „Maryi" dochodzi do 40 i wzmianka o tłómaczeniach na obce języki. Czytając napis ustępu III. „Rodzaj poezyi" sądziliśmy, że wydawca na podstawie estetycznej postara się o zdefiniowanie, do jakiego rodzaju poezyi zaliczyć, czyli jaką nazwę temu poematowi nadać można. Tymczasem mówi o układzie artystycznym, mówi że to nie epopeja, że *urokiem wewnętrznym* jest *rozlany* w całej powieści *głęboki wyraz* uczuć"(!!), mówi nakoniec o wydatnej i dotykalnej prawie plastyce, której właśnie brak utworowi, w dopiero w ostatniem zdaniu, mówiącem o wierszu poematu, z wyrazów „w powieści epicznej" domyślamy się, że tę nazwę nadał wydawca temu utworowi. Nakoniec rzecz o „Budowie poematu". Nie możemy się powstrzymać, aby pierwszej części tego ustępu nie podać Szan. czytelnikom w dosłownem brzmieniu; najlepsze sobie stąd zrobią wyobrażenie o sposobie traktowania przedmiotu. „Składa on się tj. poemat, (mówi p. Parylak) z dwu pieśni, z których pierwsza zawiera 19 a druga 20 ustępów. Pieśń pierwsza liczy przeszło 600 wierszy a II. przeszło 800. Pieśń I. kończy się pięknym opisem, jak Wacław na bystrym koniu obok Miecznika rusza na czele rycerstwa do harcu z wrogami, a pobożna Marya zniżyła kolana do modlitwy i ręce złożyła, utkwiwszy w niebo zroszone łzą oczy, by wymodlić szczęśliwy powrót dla ojca i męża; a II. rozpoczyna się od wspaniałego porównania stepu ukraińskiego z krajem mirtów i cyprysów i wprowadzenia na scenę tajemniczego pacholęcia." To jest wszystko co wydawca o *budowie* poematu powiedział. Rozhoworem o godle z Jana Kochanowskiego i zwrotem, że „rzeczywiście *w głębi ciemnej strony fantazyi pojął*, rzecz swego poematu Malczewski i tem wywołał ów przedziwny urok..." kończy wydawca część wstępną. Jak widzieliśmy niema w niej ładu i składu: ustęp I. w stosunku do następnych olbrzymi, dalszych wiele ale treści w nich mało: powtarzają się te same frazesy, zwroty, właściwie pouczających rzeczy niewiele, bo ani nowych nieznanych szczegółów żywota Malczewskiego, wyjaśniających jego działalność, ani dokładnej wiadomości o wydaniach i ich rodzaju, a nawet o tem, co o Malczewskim pisano, nie podał wydawca. Zamiast drobiazgowego tytułowania pojedyńczych rozdziałów można było raczej powiedzieć w osobnym ustępie słów parę o owym Bajronizmie, o którym się tyle słyszy we wstępie, a może się nie wiedzieć, co on ma znaczyć; trzeba było właściwości Bajrona i przejęcie się nimi Malczewskiego na poemacie samym wykazać, wtedy nie byłyby to *voces* tylko...

Nakoniec w samym rozkładzie materyału zauważyliśmy pewną nieporadność. Dlaczego charakterystykę osób odkładać aż na koniec wydania, równie jak i rzecz o języku „Maryi", skoro jedno i drugie należy do wstępu? Dlaczego rozrywać tekst utworu własnymi nawet typograficznie nie wyróżnianymi uwagami i roztrząsaniami, które niczem innem nie są, jak tylko parafrazą tekstu? I dziwna rzecz; początkowo następuje to systematycznie co parę ustępów (w I. pieśni po 3. po 4 po 8. po 9. po 10. ustępie) potem do końca nic, aż w II. znowu między 1 a 2 ustępem przypomniał sobie to wydawca,

ale więcej nie powtórzył. Miałżeby sam wydawca już w ciągu druku spostrzedz ową niestósowność i od niej w środku dzieła odstąpić? A gdzież plan postępowania z góry obmyślany?

Na czele każdego ustępu tekstu kładzie wydawca krótką treść. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu gdyby nie pamięć na to, że wszystko czyni rzekomo na wzór wydań niemieckich. Wydania niemieckie czy to autorów starożytnych, czy niemieckich, odznaczają się zawsze uporządkowaniem treści, podawanej przez siebie, wyróżniają typograficznie objaśnienia swe i uwagi od tekstu dzieła objaśnianego, bo wszystkie umieszczają to u dołu drobnym drukiem; nawet rozkład dzieła na części i ich streszczenie. Podając zaś objaśnienia umieją wyróżnić, co potrzebuje objaśnienia, a co się bez niego obejdzie, bo: *qui bene distinguit, bene docet*... P. Parylak objaśnia np. zwrot „rozigrawszy myśli“ (str. 28) zrozumiały dla każdego, lub „krążąc parowy“ (str. 47) albo *pąk*: pączek (str. 53) „ruszeniu“ ruchu, poruszeniu (str. 56) i w. i.

Drugi rodzaj objaśnień najczęściej rzeczowych wziął p. Parylak z drugiej ręki, bo z objaśnień samego autora „Maryi“, ale o tem nigdzie ani nie wspomniał. Nie jego tedy są objaśnienia na str. 30 [1]); str. 55 [3]); str. 93 [1]); str. 95 [2]); str. 101 [3]); str. 103 [3]); str. 117 [1]). Po nad to, co pozostało, niema już wielkiej wartości; są to niemal na każdej stronnicy napotykane parafrazy kilku wierszów tekstu pozujące na objaśnienia. Charakterystyczne a w swoim rodzaju za perłę humoru uchodzić mogące, jest objaśnienie na str. 31 gdzie p. P. przedstawia „zmyślne bardzo i pełne uroku poetycznego porównanie kozaka z Bohem; a jego pęd z szybkością fal Bohu z jednej strony; z drugiej zaś konia z odnogą Bohu, a jego bieg z szumnym obrotem młyna na tej odnodze“. Brak nam miejsca, aby ten ustęp ku pociesze Łaskawych Czytelników przytoczyć w dosłownem brzmieniu, ale prawdziwie jest on koroną objaśnień p. Parylaka.

Dodajmy do tego, że stylistą p. Parylak wcale nie jest, bo się mu często zdarzają „lapsusy“, które pewnie uczniom w zadaniach podkreśla (np. str. 18 w. 78 i mod góry i w. 6 od dołu albo objaśnienie 3 na str. 30); że często pisownia zaniedbana („zwidzał np. brak kresek nad e i o: dalej, upior) czegobyśmy się od członka komisyi językowej nie powinni spodziewać, a te parę rysów dopełnią obrazu, czem jest omawiane wydanie„ Maryi“.

W „Słowie do czytelników“ powiada wydawca, że chciał „zaradzić potrzebie młodzieży, która czyta w szkołach najcelniejsze dzieła poetów i szerszej Publiczności, która chcąc się bliżej zapoznać z utworami mistrzów narodowych, niema ani czasu, ani sposobności wnikać głębiej w pierwszorzędne płody literatury naszej. Nam się zdaje, że *potrzeby* przynajmniej co do publiczności nie było, a jeżli była, to obecne wydanie jej nie zapobieży, ale owszem odstraszy. Jeżeli co to „Marya“ czytaną bywa skrzętnie; rozbudzać zamiłowania do niej nie potrzeba. A jeżli wydawca miał na celu młodzież uczącą się, to mu znowu musimy zwrócić uwagę, że wszędzie wydania szkolne muszą się z natury swej różnić od wydań powszechnych i że zawsze to, co się uczniom podaje, powinno być formą i treścią udatne i w harmonijnej całości skończone.

Sam wydawca nazwał to wydanie „próbą“, zapowiadając „inne arcydzieła nasze z podobnymi objaśnieniami, jak je mają np. Niemcy“. „Próba“ ta się nie udała, ale jeżeli szan. wydawca chce wytrwać przy postanowieniu radzimy mu nie „vom Hörensagen“ mówić o wydaniach niemieckich, ale poświęcić nieco czasu ich przestudyowaniu, a wtedy nie wątpimy, że przy szlachetnej dążności i wytrwałej pracy wydawcy, znanego z tej strony, druga „próba“ pomyślniej wypadnie.

rz.

ECHA.

Czytelnicy nasi nie mają najmniejszego prawa uskarżać się na regularne ukazywanie się numerów «Przeglądu,» wydawca zaś cieszy się niezmiernie, iż tak łatwym i niekosztownym środkiem nadał swojemu pismu niezaprzeczoną cechę oryginalnosci. Gdyby jednak ktory z czytelnikow naszych był «inaczej myślącym» i żądał wytłumaczenia się redakcji, zechce się udać do naszego kronikarza, przebywającego obecnie na urlopie i zajętego właśnie (jak nam donosi telegraficznie) studjowaniem artykułow «Czasu» o zjeździe skierniewickim. Mamy nadzieję, że kronikarz nasz, na ktorego sumieniu głownie cięży wina opoźniania się «Przeglądu» zdoła nas uniewinnić przed prenumeratorami, będącymi, jak to nieraz już oświadczylismy, jedyną dla nas powagą.

* * *

Jak to dobrze kiedy kto jasno i zrozumiale wytłomaczy sytuacją polityczną! Dzięki Czasowi naprzykład, wiemy już dokładnie o rezultacie narad skierniewickich. Przed zjazdem «stosunek trzech połnocnych mocarstw przedstawiał prostą linją geometryczną (ipsissima verba «Czasu»), po zjeździe zaś linja ta «zakrzywiła się i zamieniła się w koło.» Przed zjazdem «Niemcy stały w pośrodku i trzymały za jedną rękę Rossją a drugą Austryę» — obecnie zaś «Austrja trzyma jedną ręką rękę Rossji, a drugą ręką rękę Niemiec.» Ot co jest! Krotko, węzłowato, a jasno jak na dłoni. I są jeszcze tacy, ktorym się zdaje, że w Timesach naszych zdrowy rozum robi bokami.

* * *

Nieregularne wychodzenie «Przeglądu» ma tę wartość, że pozwala nam przewidywać rzeczy przyszłe. I tak, choć numer dzisiejszy nosi datę 20 sierpnia, możemy z góry zaręczyć czytelnikom, że dana po raz pierwszy w d. 20 września komedja p. Swiderskiego: «Nowy dziedzic» dozna niepowodzenia.

Zanim nasz sprawozdawca zapozna bliżej z tym utworem czytelników «Przeglądu» zaznaczamy tymczasem: a) że akt pierwszy lubo słaby pod względem budowy scenicznej, zapowiadał przynajmniej dobre typy i charaktery, i b) że następne akty zapowiedzi tej nie dotrzymały i przemieniły komedją poważną, z głębszą myślą, na naiwną i niesmaczną farsę. Szczęśliwy pomysł w komedji, powiadają, to już połowa wygranej — «Nowy dziedzic» dowiódł niesłuszności tego zdania. Autor poruszył sprawę bardzo żywotną, może najżywotniejszą w naszych stosunkach, to jest przechodzenie ziemi w ręce żydowskie, wprowadził ją odrazu śmiało i oryginalnie i... i na tem koniec. Reszta, to mistrzowskie, można powiedzieć, popsucie myśli i tendencji autora.

* * *

Juljusz Kossak wykonał 17ście akwarell z przeszłości rodziny Fredrów. Akwarelle te w tych dniach wystawione zostaną we Lwowie.

Na pierwszej z nich widzimy Dobiesława Mierzbę, walczącego z niemcem, który w obawie przed nacierającym woła: Fried her, na pamiątkę czego krol Kazimierz W. nadał swemu marszałkowi i jego potomkom nazwisko Fredrów. Na drugiej widzimy Jana Fredrę, wojewodę ruskiego ratującego za Olbrachta wojsko polskie na Bukowinie. Andrzej Fredro, wojewoda podolski, jest bohaterem trzeciej akwarelli; przedstawił go artysta jako pogromcę Tatarów, rozwiązującego pęta zabranym do niewoli. Na czwartej akwarelli Wawrzyniec Fredro (1500 r.) odbywa poselstwo u Porty Otomańskiej. Na piątej Franciszek Fredro (1520 r.) na wycieczce z oblężonego Lubaczowa gromi Tatarów. Dalej Stanisław Fredro, kasztelan czernichowski (1670 r.) przyprowadza na usługi ojczyźnie dwie chorągwie i regiment. Następnie widzimy portret Tacyta polskiego, Jędrzeja Maksymiljana Fredry. Osma akwarella stanowi portret Aleksandra Fredry biskupa przemyskiego. Na dziewiątej Seweryn Fredro, szef szwadronu szwoleżerow polskich w roku 1813 rozbija pod Peterswaldem pułk huzarów pruskich. Aleksander Fredro, słynny później komedjopisarz przedstawiony jest naprzód w bitwie pod Hanau, gdy nieprzyjacielska kula zabija pod nim ulubionego bułanka. Oprócz tego druga akwarella jest portretem znakomitego autora. Na ostatniej akwarelli walczy Edward Fredro, kapitan 6go pułku ułanów w bitwie pod Kałuszynem r. 1831, odnosząc ciężką ranę.

Zmarli w Krakowie:

Konstanty Hoszowski, senator, prezes Towarzystwa Dobroczynności, członek nadzw. Akademji Umiejętności itd.

Hipolit Lipiński, znany artysta-malarz, autor «Targu na Kleparzu.»

Cześć ich pamięci.

Do tego Nru dołącza się trzy arkusze „Polskich pań i dziewic.“